Z fotografji zdjętéj z obrazu francuzkiego malarza Delacroix rysował F. Tegazzo.

GROSZ WDOWI (1).

Oto mój grosz ubogi, me bogactwo całe
Wkładam je do skarbonki, Panie! przyjm na chwałę..

O! zaiste wszechmocna powieść Chrystusowa,
Tak samo od ofiary bogaty ucieka,
Tak samo do skarbonki grosz przynosi wdowa,
I mądra panna z lampą oblubieńca czeka.
Kończą się sławy, państwa, nikną pokolenia,
Ubiegłe czasy wieczność niezmierzona kryje,
I jedna tylko prawda z bożego przejrzenia
Gdzie ją Zbawiciel palcem naznaczył, tam żyje.
Ujrzysz ją śród rolników schylonych nad glebą,
Ujrzysz kędy się do łez biedne serce wzrusza,
Śród bogaczy co łatwo radzi posiąść Niebo,
Ujrzysz u modlącego się faryzeusza.
Kto namalował Niebo i co w niém i światy
I co na nich—kto kreślił słońc olbrzymie koła,
Ten co ulepił człeka i stworzył anioła,
Jak narysował prawdę przed tysiącem laty,
Tak niewzruszona stoi—i wszechwiedzy znamię
Na sobie ma i w każdym zobaczysz ją wieku,
Ujrzysz ją na tym człeku i na owym człeku,
Albowiem Bóg-artysta nie schlebia, ni kłamie,
Jako artysta-dworak czyni lub szyderca,
Bóg patrzał w głębię serca i w przepaściach czytał,
My chwytamy pozory, on istotę chwytał,
I nie z twarzy rysował obraz, ale z serca.

Teofil Lenartowicz.

1) Wiersz ten nieprzeznaczony do druku, udzielony nam łaskawie został przez jedną ze znajomych Autora, który go jéj przysłał przy fotografji obrazu francuzkiego artysty.

WSPOMNIENIA RODZINNE.

(Dalszy ciąg).

Wiadomo że Marja pełna wiary i poddania woli Opatrzności, przypisywała sobie samej całe brzemię nieszczęścia swego, które uznawała za słuszną karę Boga za swe małżeństwo, będące według jéj ówczesnych i pobożnych przekonań, buntem i nieposłuszeństwem przeciw powadze i prawom naznaczonych jéj testamentem ojca opiekunów. W ostatniéj do Częstochowy podróży uczyniła przed ołtarzem Boga-Rodzicy ślub że jakim bądź sposobem przebłaga królewica Jakóba i jego małżonkę. Jakoż po ostateczném w klasztorze osiedleniu, napisała do nich list pełen uszanowania i pokory, błagając ich o przebaczenie w imie obrażonego cieniu swego ojca. Królewicostwo bawili czasowo w Olawie, gdy doszła rąk ich odezwa Marji-Józefy, na którą nie dali jéj długo czekać z odpowiedzią. Jadwiga-Eleonora odpisała w wyrazach najuprzejmiejszych, zapraszając Ją w imieniu *królewica jéj opiekuna*, tak się wyraziła, do zamku Olawskiego, pragnęła aby czas agitującéj się sprawy rozwodowéj *wcale przez jéj małżonka* nie popieranéj, przepędziła w gronie rodziny. Odezwało się dawne przywiązanie Marji-Józefy do królewicowéj; uradowana jéj przychylnością, list ten natychmiast okazała bratu.

Starosta przeczytał kilkakrotnie z uwagą pismo Jadwigi Eleonory. „Nie jestem przeciwnym, rzekł wreście, abyście jechali na krótki czas do Olawy; uznaję wielce świętość władzy rodzicielskiéj. Ojciec nasz czyniąc królewica Jakóba waszym opiekunem, przelał tém samém swe do was prawa na niego; zawiniliście przeciwko władzy rodzicielskiéj, obierając sobie samowolnie małżonka; winę tę jako obecny aktowi ślubu świadek i brat starszy, przyjąć muszę w części na siebie. Wypada wam uczynić królewicowi waszą submissją, a mnie doradzać Wam wypełnienie tego obowiązku. Wszakże macie także i obowiązki względem siebie saméj i praw waszych, służących wam jako małżonce królewica Konstantego. Wypada Wam zatem nim pojedziecie do Olawy, upewnić się w jakim tam charakterze przyjęci będziecie, wymaga tego sława wasza i powaga małżeńskiego związku.“

Zrozumiała Marja całą ważność słów brata, postanowiła zatém wprzódy za pośrednictwem trzeciéj osoby, wybadać usposobienie względem niéj księcia Jakóba i jego małżonki.

Mieszkał wtedy w Warszawie dla układania prawnych interesów królewica Jakóba w krajach Rzeczypospolitéj, niejaki Grabianka, chorąży Czerski, który był także generalnym komisarzem wszelkich dóbr tego księcia. Starosta wezwał go do siebie i upoważnił do oświadczenia księstwu Jakóbostwu, w imieniu królewicowéj Marji-Józefy, że jakkolwiek taż czuje się w obowiązku złożenia im submissji i służb swoich, nie może zadosyć uczynić téj powinności, dopókąd nie będzie miała zapewnienia, że przyjętą będzie w Olawie w charakterze i dostojeństwie przyznanéj małżonki królewica Konstantego, do czego ma niezaprzeczone prawo, do chwili w któréj stolica apostolska unieważni jéj związek z księciem. Pan chorąży Czerski był to sobie, według opisu królewicowéj Marji-Józefy, typ dawnego szlachcica-dworaka wielkiego pana; zawsze gotów głosować za stronnictwem swojego pryncypała, wypić antałek wina za jego zdrowie, rąbać się na sejmiku za jego honor, ściskać go za kolana, sadzić co słowo parafrazami łacińskiemi oraz wyrazami *submissja i respekt* i oddawać swe dzieci na służby do jego dworu. W politykę pan chorąży Czerski czynnie nie wiele się wdawał, wszakże wysoce cenił przywileje szlacheckie, mianowicie prawo elekcji króla, które uważał za fundament Rzeczypospolitéj, jako też i *liberum veto*, najdroższy klejnot wolności szlacheckiéj. Wielce też cenił i swój własny, w każdym bowiem ważniejszym wypadku chlubił się nim i występował, to na barwie swego pachołka, to na pieczątce, gdy przyszło list

ekspedjować lub urzędowy akt stwierdzić. Pan chorąży lubił wiele rozprawiać o bieżących interesach Rzeczypospolitéj, gderać i łajać na te tam nowe dotąd niesłychane podatki, na wojsko, na ciężkie czasy, które wraz z królem niemcem do nas zawitały. W tych rozumowaniach było i nieco prawdy, ale gdy wino zaszumiało i jakoś wyobrażenia zaczęły się mięszać w głowie pana chorążego, zwłaszcza gdy mu kto nieśmiało napomknął o nieładzie w Rzeczypospolitéj, kończył rozprawę owym staroszlacheckim aksiomatem: *Ot tak panie a bracie, Polska nierządem stoi.* Ale jeżeli w polityce pan stolnik nie miał czasami jasnego rzeczy widzenia, za to w prawie był wielce uczony i przebiegły. W fortelikach, prawnych wykrętach i figielkach, żadnemu Lubelskiemu palestrantowi nie dał się ubiedz, niebrzydził się też i podejściem i najazdem na cudze pastwiska i lasy, a gdy mu się udało sztuką, a jak dawniéj mówiono *z mańki zażyć* przeciwnika, rozpowiadał długo i szeroko swe *sukcessa* śmiejąc się do rozpuku. Znał na palcach *Volumina legum*, znał téż i sejmowe konstytucje z których jak z cytryny wysysał ustawy dające się przekręcić na korzyść swego pryncypała. W jego imieniu wytaczał procesa, zawierał kompromisa, szczególnie gdy nie mógł już kordem bronić praw jego do korony.

Pan chorąży na wezwanie starosty, z ścisłością prawnika i usłużną gotowością dworaka, przybył o wyznaczonéj godzinie na konferencję do dworca Pokrzywnickich. Olbrzymiéj postawy z podgoloną czupryną, o małych siwych błyszczących i ruchawych oczkach, dziwnie sprytnym nacechowanych wyrazem, z figlarno dobrodusznym uśmiechem, kłaniając się niziutko i bez przerwy od drzwi do wskazanego sobie miejsca które zajął, nie bez wznowionych jeszcze ukłonów, pan Grabianka wszedł do komnaty w któréj oczekiwał go brat Marji Józefy. Lubiąc bez wielkich przygotowań chwycić za przedmiot rozmowy, opowiedział w krótkich wyrazach starosta treść interesu, chorąży słuchał z uwagą człowieka fachowego, poczem submitując się JW. Staroście uczynił uwagę: że jakkolwiek jest przekonany o wysokich względach Najjaśniejszego królewica jegomości pryncypała swego dla dostojnéj rodziny ś. p. starosty Różańskiego, nie wié czy interes da się ułatwić w pożądany dla stron obu sposób, albowiem dodał, agitująca się sprawa o prawości zawartego małżeństwa w zawieszeniu mieć chce tytuły i zaszczyty siostry Jaśnie Wielmożnego Starosty. Po długich wszakże rozprawach i gęstych na cześć królewica Jakóba, złotéj szlacheckiéj wolności i pomyślności Rzeczypospolitéj libacjach, podjął się pan chorąży całéj sprawy, wziąwszy na siebie jéj przedstawienie i kierownictwo. Mimo zawołanéj pana chorążego zręczności, dającéj mu prawie zawsze wygraną, nawet w najzawilszych sprawach, interes przyjęcia Marji-Józefy w Olawie prowadził się lat trzy bez żadnego skutku. Być może że pan Grabianka nie użył tu całego zasobu wrodzonych sobie zdolności i że zwyczajem swoim chciał zbadać bieg sprawy, wszystkie jéj zwroty i przewidzieć się mogący ostateczny kres, nim zdanie swoje nachylił na stronę małżonki królewica Konstantego. To pewna że żadnych nie robił przedstawień księciu Jakóbowi, dopóki nie zawiązał potrzebnych dla siebie stosunków z nuncjaturą w Warszawie, zkąd mógł czerpać jako w najlepszém zródle potrzebne mu z Rzymu wiadomości.

„W trakcie tego, (opowiadała Marja-Józefa) podobało się Niebu nową, nie mniéj od innych bolesną i rozdzierającą na mnie zesłać próbę.

Królowa Marja-Kazimiera, która od lat wielu na próżno starała się u znudzonego jéj duchem niezgody i intrygi rządu francuzkiego, o pozwolenie zamieszkania we Francji, doczekała się przecież zaproszenia do zamieszkania zamku w Blois, gdzie miała naznaczoną sobie rezydencję. Zaproszenie to nadeszło w tym samym roku w którym rozpoczął się proces rozwodowy. Ucieszona królowa z pozwolenia zamieszkania we własnéj ojczyznie, powierzyła księżnie Sforzia kierunek tego interesu, z zastrzeżeniem zdawania sobie szczegółowych sprawozdań, sama zaś wyjechała z dworem do Blois, zkąd z właściwą sobie zaciętą starannością, śledziła wszystkie zwroty tego nieszczęśliwego procesu, popierając go całym swoim u dworu Ludwika XIV wpły-

wem. Ale dwór Wersalski równie jak dwór Rzymski nie zawsze był powolny zachceniom królowéj, zwłaszcza że w miarę instrukcji procesu i postępu całéj sprawy przekonywano się, że dowody i rzeczywistość nie były po stronie Marji-Kazimiery. Przewrotna ta kobiéta przewidując możliwą przegraną, innych jęła się środków. Posłała do mnie zaufanego swego pokojowca nazwiskiem *la Brie* z własnoręcznym listem wktórym przybierając niezwyczajny ton i mowę, okazywała mi największą czułość, przypominała dawne moje z jéj rodziną stosunki, pobyt w Willanowie, wysoką łaskę jaką mnie król najukochańszy jéj małżonek zaszczycał, usługi moich rodziców dla domu królewskiego położone, zresztą własne jéj dla mnie współczucie „Nie duma to, broń Boże! stoi na przeszkodzie przyzwoleniu memu na małżeństwo królewica Konstantego z panną starościanką, ale własne jéj szczęście.“ Tu przebiegła francuzka w celu znaglenia mnie do dobrowolnego odstąpienia praw moich, coby interes wielce ułatwiło, odkryła mi stosunki królewica z księżną Sforzia, a na dobitkę podłości i okrucieństwa jakby pastwiąc się nad swą ofiarą, przyłączyła do ekspedycji list księcia Konstantego do téj włoszki adresowany, w którym to liście książe nie tai swoich uczuć dla niéj i gorącego pragnienia zerwania związków z kobiétą, *która podstępem i zalotnością pozorny tytuł jego małżonki niegodnie zdobyła.* Wpatrywałam się długo w to potwarcze pismo, nie rozumiejąc zrazu jego znaczenia. Nie mogłam wierzyć aby ta ręka uroczystym ślubem zemną związana, zdolna była nakreślić tyle fałszywych i niegodnych zaskarżeń. Bolesne mi były potwarze i pociski z boku na mnie rzucane, ale o ileż sroższy był widok tego listu, noszącego w sobie niezbity dowód nikczemności tego, któremu wieczną miłość i wiarę ślubowałam. Trzymałam jeszcze list w ręku, gdy nagle w oczach mi się zaćmiło i padłam zemdlona w obec posłannika królowéj. Wieczorem dostałam gorączki, życie moje było w niebezpieczeństwie, zażądałam ostatnich Sakramentów. Nuncjusz papiezki zjechał sam do klasztoru, aby mi takowych udzielić. Ta choroba aczkolwiek niebezpieczna, nie miała mnie poprowadzić do ostatecznego kresu mego życia, snać nie wychyliłam jeszcze do dna, naznaczonego mi kielicha goryczy. Powracałam pomału do zdrowia, a z niém odzyskiwałam wiarę i dawny hart duszy. Dobre zakonnice które przez sześć tygodni nie odstępowały mego łoża boleści, w czasie powrotu do zdrowia, wszelkie powody zmartwienia lub rozczulenia oddalić odemnie usiłowały. Jednego wszakże poranku, przełożona matka Domicella przyszła, jak zwykła to była robić, dowiedzieć się o moje zdrowie. Na jéj wyrazistéj twarzy malowało się jakieś źle ukryte wewnętrzne zakłopotanie, w końcu odwiedzin wyznała mi, że *la Brie* codziennie prawie w czasie mojéj choroby dowiadywał się u furty, pragnąc stanowczo być przypuszczonym do posłuchania, gdyż odebrał świeżo rozkaz od królowéj spiesznego do Blois powrotu. Naznaczyłam dzień następny na widzenie się z posłannikiem Marji-Kazimiery, gdyż chciałam jeszcze raz przeczytać ów list królewica do księżnéj Sforzia, nieszczęsny powód méj choroby. Jakoż kazałam sobie podać szkatułkę gdzie przechowywałam wszystkie listy królewica do mnie z Rzymu pisane, porównywałam każdy z osobna z owym listem do księżnéj Sforzia i przekonałam się, że widocznie był podrobiony, niezgrabnie pismo królewica naśladujący i zgoła ręką jego niekreślony. Pokazałam wszystkie listy bratu memu i matce Domicelli, którzy zupełnie mniemanie moje potwierdzili. Nazajutrz zrana *la Brie* przedstawił mi się w naznaczoną godzinę. Gdy wszedł, siedziałam na dużém krześle przed kominkiem, owe papiery leżały przymnie na małym hebanowym okrągłym stoliczku, zebrawszy odwagę i siły zapytałam go zimno: Czegoby odemnie żądał?... „Odpowiedzi na list który tu przed sześcioma tygodniami z Blois przywiozłem.“ Na te słowa służalca królowéj, wzięłam jeden z dawnych listów królewica i kazałam mu go porównać z owym pod jego kreślonym nazwiskiem, zwróciłam jego uwagę na podłość postępku królowéj, poczem tak list Marji-Kazimiery jak i mniemany królewica rzuciłam w ogień—Oto jest, rzekłam, moja odpowiedź, ktorą Waszmość zawieź królowéj, mogłabym te dowody zachować dla siebie, dzielnieby one poparły sprawę moją

w Rzymie, ale ceniąc drogą mi zawsze pamięć nieboszczyka króla dobroczyńcy mojego, przez uszanowanie dla nazwiska które on sławą okrył, a które i niecna jego małżonka nosi, pragnę na zawsze zniszczyć te dowody. Na te słowa *la Brie* skłonił się z uszanowaniem i zniknął pozostawiwszy mi w duszy najprzykrzejsze wrażenie jakie w życiu doznałam.“

Ale wróćmy do rozpoczętych układów z ks. Jakóbem o zamierzony wyjazd królewico-

r. 1716 śmierć Marji-Kazimiery, wydarła z rąk nieprzyjaciół małżonki królewica Konstantego, najsubtelniejszą do intryg i knowań sprężynę. Pojął dobrze, ten rzeczy obrot pan stolnik Czerski, dla tego w końcu tegoż roku napisał do swego pryncypała list, w którym przedstawił mu konieczność układów z Marją-Józefą i wydobycia z niéj tytułem dobrowolnéj zgody *zrzeczenia* się *dożywocia*, celu wszystkich jego zabiegów, uprzedzając tym sposobem wyrok stolicy



Nagle w oczach mi się zaćmiło i padłam zemdlona w obec posłannika królowéj.

wéj Marji-Józefy do Olawy, w których to układach pan stolnik Czerski ważną miał odegrać rolę. Szczwany na wszystkie prawne wybiegi lis, Grabianka zmiarkował w skutku wielokrotnych z nuncjuszem apostolskim konferencji, że sprawa rozwodowa w Rzymie prawdopodobnie na korzyść Marji-Józefy wypadnie, kongregacja matrimonialna w Rzymie coraz groźniejszą przybierała dla widoków królowéj i księżnéj Sforzia postawę, w końcu nastąpiona w zamku Blois

apostolskiéj. Plan ten godny zawołanego jurysty, był zrozumiany przez księcia Jakóba i dziwnie mu przypadł do smaku. Chciwy ten książę napisał niebawem do Marji-Józefy list pełen uprzejmości, w którym ją po raz pierwszy tytułował *Królewicowską Mością* zapraszając do Olawy.

Nie będziemy opisywać cierpko słodkawego przyjęcia jakiego tam doznała, licznych przygód i tajonych upokorzeń, słów dopiekających a na pozór grzecznych, ja-

kich ofiarą była, nieznośnéj i męczącéj etykiety, tych koniecznych następstw fałszywego jéj na dworze dumnego szwagra położenia. W dni kilka po przybyciu Marji-Józefy do Oławy, królewic Jakób wszedł niespodziewanie do jéj sypialnéj komnaty i z dziwnym jakimś wyrazem ukrytego gniewu i źle odegranéj łagodności, oświadczył jéj że czas już, aby się zobopólnie w rozdzielających ich draźliwych okolicznościach porozumieli. Po tym wstępie, królewic w długim szczegółowym i dość zawiłym wywodzie sprawy Marji, nie szczędząc jéj grzecznych i zręcznie ubarwionych gróźb, rozbierał po swojemu wszystkie punkta procesu. Dowodził w brew własnemu przekonaniu, że wyrok stolicy apostolskiéj musi wypaść na jéj niekorzyść, że zatém radzi jéj jako ojciec i opiekun aby przyjęła w zamian zrzeczenia dożywocia na majątkach księcia Konstantego, dziesięć tysięcy talarów pruskich rocznego do śmierci wynagrodzenia. Ale posłuchajmy tu znów dalszego ciągu opowiadania Marji-Józefy.

„Nie mogę opisać wrażenia jakiego doznałam na widok królewica Jakóba w mojéj komnacie. Przebywając dawniéj na jego dworze nie znałam go prawie. Widywałam go jedynie i to w rzadkich przerwach na pokojach w dniach przyjęcia, lub prywatnie w rzadszych jeszcze jego w gabinecie królewicowéj odwiedzinach, w których nigdy prawie do panien dworskich nie przemawiał. Jak wszyscy ludzie małomówiący i łączący pewną osobistą powagę z wysokiém towarzyskiém położeniem, królewic wzbudzał uszanowanie, a nawet pewną trwogę, te były przynajmniéj wrażenia których zawsze na jego widok doznawałam. Jego nagłe ukazanie się w mojéj komnacie, pozbawiło mnie zwyczajnéj mojéj w trudniejszych położeniach odwagi i przytomności. Słuchałam drżąc i nie śmiejąc prawie oczu podnieść długiéj jego przemowy, ale gdy dotknął najdelikatniejszéj strony przedmiotu naszéj rozmowy, prawdopodobieństwa unieważnienia mojego małżeństwa, krew uderzyła mi do głowy, w oczach mi się zaćmiło. Po chwili, nagle i niespodziewanie odzyskałam przytomność.

„Jak to, mości książę zawołałam, co rozumiecie przez nieważność małżeństwa? Jestem żoną waszego brata, tego tytułu nikt mi nie odejmie, wierzę w prawość wyroków stolicy świętéj, ona moją niewinność wyświeci.“ Nie spodziewał się królewic tak śmiałéj protestacji ze strony kobiéty, którą sądził że uczyni prostém narzędziem swéj woli i zabiegów, czuł że wstąpił na niewłaściwą drogę, przedsięwziął zatém dla łatwiejszego dopięcia celu uderzyć w stronę moralną interesu.

Zmienił ton panującego na łagodniejszy wyraz dogmatyzującego ojca rodziny, mówił długo o świętości władzy rodzicielskiéj, o jéj zgwałceniu przez nas, odnosił się do testamentu starosty Różańskiego i praw, jakie mu przekazywała ostatnia jego wola.—Zrzeknijcie się—ciągnął daléj książę—dożywocia, a ja w imieniu zgasłego starosty Różańskiego pobłogosławię związkowi waszemu z bratem moim.

Na to niespodziewane oświadczenie, bezprzytomna prawie z radości,uklękłam przed księciem mówiąc mu, że zrzekam się praw moich do dożywocia, pod jednym warunkiem, że mi pozostawi w nietykalności, prawa moje do legalnego z księciem Konstantym małżeństwa, prawa, które jako jedyne moje dobro zachować pragnę. Królewic pochwalił moją bezinteresowność ale nie syt téj zdobyczy, zażądał także ustąpienia dziesięciu tysięcy talarów pruskich rocznego dożywocia, poprzednio mi przez niego ofiarowanego i zaręczenia, że się ograniczę na dochodach z własnych dóbr, po rodzicach mi przekazanych. Rada że kamień spadł mi z serca, a raczéj z sumienia, na wszystkie propozycje przystałam, i z łatwością, podaną mi urzędową tranzakcję podpisałam, a królewic Jakób kontent z dokonanego dzieła, zamknął się znów w swym ulubionym pawilonie, zostawując żonie obowiązek podejmowania przyznanéj przez siebie bratowéj. Nie długo nadużywałam tego łaskawego ustępstwa i po kilku dniach nader zimnego i ceremonialnego z Jadwigą Eleonorą obcowania, z honorami odpowiedniemi nowo przyznanemu mi stanowisku, z przydanym szambelanem i dwoma pannami dworskiemi królewicostwa, we własnych ich ekwipażach, powróciłam do ulubionego mi ustronia w klasztorze PP. Sakramentek.

Po minionym szale tłumnych wrażeń, sama jadąc w karecie, miałam czas rozmyślać nad treścią i następstwami zaszłych wypadków. Rozbierałam z głęboką uwagą każdy szczegół postępowania królewicostwa ze mną i uznać musiałam, że oszukaną byłam; oszukaną w najnikczemniejszych widokach i celach. Tak to nikczemność, podłość i chciwość, najbliżéj sąsiadują z wyuzdaną pychą, albo raczéj są jéj najprościejszém następstwem."

Niewiadomo, czy królewic Konstanty wiedział o zamiarach brata i czy miał w nich jakikolwiek udział—to pewna, że Marja-Józefa szanując pamięć małżonka, wyrażała się o nim z największym szacunkiem, zrzucając całą winę na królową - matkę i królewica Jakóba.

Starosta Ostrowski mocno siostrę za deklarację w Olawie podpisaną strofował; pan chorąży Czerski uśmiechał się i wąsa pokręcał zadowolony, że plany jego tak dobrze się powiodły, a dążąc do ścisłego wykonania przyjętego przez swego pryncypała zobowiązania, zaniósł do JW. Starosty pokorną prośbę, aby mógł Najjaśniejszéj królewicowéj Konstantowéj [1]) swoje osobiste złożyć służby i powitać ją w nowym książęcym charakterze. Nie przyjęła Marja-Józefa attencji pana Grabianki, już to z powodu, że postanowiła nie zmieniać dawnego trybu życia ściśle odosobnionego, już téż, że nie mniemała, aby uznanie księcia Jakóba, dostateczném było bez uroczystego dworu rzymskiego orzeczenia.

Kiedy Marja po powrocie z Olawy do klasztoru, oddawała się z większą niż kiedykolwiek żarliwością modlitwie i rozmyślaniu, nowa i straszliwa klęska, bo wojna domowa, groziła nieszczęśliwéj jéj ojczyznie. Nim dotkniemy tego smutnego dramatu, nie od rzeczy może będzie rzucić pobieżnie okiem na stan kraju i okoliczności które go poprzedziły.

August powróciwszy do Polski, nie już przez naród powołany, ale wierny raz przyjętéj zasadzie, na czele cudzoziemskich zastępów, pisze nową do swych poddanych proklamację, ogłasza amnestję dla stronników szwedzkiego przymierza i zwoływa sejm. Dla ustalenia stosunków ze stolicą apostolską, któréj opieki w niepomyślnych dla siebie doznał czasach, prosi papieża o zwolnienie polaków z przysięgi Stanisławowi uczynionéj. Ojciec Śty przed pięciu laty o tęż samą łaskę przez Stanisława proszony, chętnie zezwolił na powróconego króla żądanie, ale przekładał biskupom polskim, potrzebę ustalenia na trwalszych zasadach rządu wielkiego i potężnego narodu, świeżo tytułem obrońcy chrześcijaństwa zaszczyconego, żądał od nich, aby wpływem swoim działali na usposobienie szlachty i oświecali ją o grożącém niepodległości Rzeczypospolitéj niebezpieczeństwie. Skorzystał August z przestrogi, zobaczymy jakiemi dążył drogami, aby chwiejącą się na swéj głowie Jagiellonów koronę *z prawem dziedzicznêm* dla siebie i swych potomków zabezpieczyć.

Wbrew starym i odwiecznym polskim konstytucjom, przybrał ton i mowę samowładnie panującego; ogłosił amnestję, wznowił order Orła Białego, który dawniéj w swych wojnach z Karolem i stronnikami Leszczyńskiego i Sobieskich, używał jako prosty znak odznaczający jego przyjaciół. Znak ten, według tradycyonalnego podania, przez króla Łokietka jeszcze ustanowiony, jest miarą szerzenia się zasad szlacheckiéj równości. Zapomniany długo, wznowiony przez Augusta, wyobrażał małego polskiego orzełka, na błękitnéj wstążce zawieszonego. Nosił się pod koszulą, aby nie drażnić umysłów przeciwników króla. Dopiero po klęsce pod Półtawą i ucieczce Stanisława, napisał August statuta orderu i ustanowił go w formie, w jakiéj go w późniejszych czasach widzieliśmy, a dla zyskania sobie największéj liczby stronników, szczodrą go zaczął rozdawać ręką. Do zjednania ich jemu, nie mało przyczyniła się zręczność pierwszego jego ministra hrabiego Fleminga, który zbadawszy charakter polaków, starał im się zarówno do serca jak do rozumu przemówić. Ogłoszona amnestja dla stronników Stanisława, wielu ich

[1]) Po zatwierdzeniu małżeństwa w Rzymie, Marja-Józefa w korrespondencjach z dworami zagranicznemi, a mianowicie z książętami domu królewskiego saskiego, tytułowaną była Jéj Królewicowską Mością księżną Konstantową Sobieską (S. A. R. la Princesse Constantin Sobieska).

(Przyp. Aut.)

Augustowi zjednała; daléj starał się zajmować umysły polaków wojną wewnętrzną. Jeszcze za życia Karola, korzystając z pobytu tego strasznego nieprzyjaciela w Benderze, ponowił wojnę, mszcząc się na Szwedach za dawniej doznane obelgi. Stanęło poczwórne, Augusta, Piotra Igo, Chrystjana króla Duńskiego i domu Brandeburgskiego przymierze. Zjechali się ci monarchowie w Toruniu, gdzie plan zaczepnéj kampanji ułożyli. Wojska sprzymierzone weszły do Pomeranji i oblegały Stralsund, gdy, jak to w poprzednim powiedzieliśmy rozdziale, Karol powrócił z dalekiéj wycieczki i ukazał się na czele dawnych swych zastępów.

Piotr Iszy mocno zaniepokojony zjawieniem się niebezpiecznego wroga, udaje się do drogi układów i płaci Augustowi tą samą monetą, którą mu elektor za jego pomoc przed laty traktatem Altrandstanckim zapłacił. Śmierć Karola przerwała układy, i wróciła między Augustem i Piotrem dobre porozumienie, które odtąd nigdy przerwaném nie było.

Uspokoiwszy się z téj strony, król niespodziewanie i bez żadnéj przyczyny, począł prześladować mniemanych swych przeciwników. Najniebezpieczniejsi jego nieprzyjaciele, trzéj książęta Sobiescy, zniknęli bezpowrotnie z horyzontu politycznego; cała czynność i podejrzliwość Augusta zwróciła się na Stanisława Leszczyńskiego i jego stronników. Otaczający króla sasi, ludzie chciwi i nikczemni, nie wzdragali się dla własnego interesu przez zręczne insynuacje i fałszywe doniesienia, budzić i utrzymywać w swym panu nieszczęśliwe te usposobienia i dążności. Minister Fleming zachęcił Augusta do stanowczego i niemniéj haniebnego kroku. Po pewnéj wieczornéj, w głębi królewskiego gabinetu naradzie, postanowili oni użyć tego samego sposobu z Leszczyńskim, który tak im posłużył z książętami Sobieskiemi. Niebawem téż znaleźli stosownego do wykonania tego planu człowieka. Francuz lub téż z francuzkiego pochodzenia, niejaki Laurenty Lacroix, dawniéj oficer wojsk saskich, dobrawszy sobie dwónastu równie bezczelnych i śmiałych jak on awanturników, przybyli do Bipontu i w sam dzień Wniebowzięcia Najświętszéj Panny, gdy nabożny monarcha miał się udać do katolickiéj kaplicy, o dwie mile od miasta odległéj, umyślili go porwać, a w razie oporu, zastrzelić. Zręczny, waleczny i pełen poświęcenia Poniatowski (ojciec Stanisława-Augusta), odkrył spisek, złoczyńcy pochwyceni na gorącym uczynku, oddani pod sąd, śmiercią mieli być karani. Po ogłoszeniu jednakże wyroku, Leszczyński kazał ich do siebie przywołać, zbrodnię przebaczył, i aby ich nędza znów do złego nie nęciła szczodrze ich obdarował.

Czyn ten podwoił jeszcze miłość Bipontczyków dla szlachetnego władcy; sława jego zagrzmiała odgłosem współczucia i uwielbienia w Niemczech i Polsce, a zawstydzony szemraniem opinji publicznéj August, ogłosił protestację, w któréj oświadczył, że się brzydzi tak haniebnym czynem, że nie mógł brać w nim udziału i że sprawców jego, przed sąd sprawiedliwego Boga zapozwie. Nikt przecież słowom na wiatr wyrzeczonym nie uwierzył, gdyż poprzednie Augusta czyny, a głównie porwanie i uwięzienie przed kilkoma laty książąt Sobieskich, oczywiste im kłamstwo zadawały. Tym sposobem ciężkim doświadczeniem i tylolicznemi klęskami nie nauczony August, brnął w dawną politykę fałszów, podstępów, konszachtów i na szkodę Rzeczypospolitéj ustępstw. Sprzymierzeńcy jego, ich generałowie i posłowie samowładnie Polską rządzili, wojska ich, łącznie z przybyłém znów wojskiem saskiém, dawne swe w Polsce zajęli leże i ogromne pod bokiem samego króla, po miastach i siołach spustoszenia zrządzali. Deportacja do Saksonji i w głąb Rossji, dobrowolne do Francji, Węgier i Wołoszczyzny emigracje coraz liczniéj się powtarzały. Na utrzymanie obcych wojsk postanowiono bez pozwolenia sejmu i pod pozorem stanu wyjątkowego, podatek nadzwyczajny pogłówny i takowy wybierano na kwit pierwszego lepszego cudzoziemskiego rotmistrza, bez assygnacji hetmańskiéj, jak do tego prawa i zwyczaje krajowe zobowiązywały. Wielki podskarbi koronny Przebendowski, ten sam, który intrygami swemi, marnotrawstwem i przedajnością, utorował był Augustowi drogę do tronu, rządził samowładnie skarbem i rozlicznemi nadużyciami dzielnie panu swemu do uciemiężenia narodu dopomagał.

Przewrotny ten człowiek wmówił w Augusta, że w interesie utrzymania jego dynastji na tronie i ukrócenia swawoli szlachty, potrzeba otoczyć koronę siłą zbrojną regularną, będącą na każde jéj zawołanie. Plan ten ułożony przez ludzi głowy i poświęcenia, posiadających zaufanie narodu, byłby go może zatrzymał nad brzegiem przepaści, w ręku zaś Augusta i Przebendowskiego, wywołał katastrofę, o której niżéj mówić będziemy. Uchwalono 40,000 wojska polskiego, uzbrojonego i wyćwiczonego na sposób saski i wymuszono na Radzie głównéj warszawskiéj, że mieszkańcy wszystkich prowincji Rzeczypospolitéj, bezwzględnie na stan, wyznanie i majątek, mieli składać po półtora tynfa od dymu na jego utrzymanie. W téj nieszczęśliwéj reakcji, Wielko-Polska znana ze swéj do Augusta niechęci i sprzyjania wygnanemu Stanisławowi najwięcéj ucierpiała. Dowodził tu jeden z zauszników króla, jenerał Sejdlitz, który się wielu dopuścił nadużyć; więził szlachtę, niegodnie ją prześladował i zmuszał do dostarczania mu ludzi na najniegodniejsze usługi. Nie syt krwi i mordów, niegodziwy ten człowiek, bogacił się niezmiernemi kontrybucjami, które wybierał w kraju, tyloletniemi najazdami i przemarszami wojsk obcych znękanym i zniszczonym. Najmniejsze sioło, dawało około 2,500 tynfów kontrybucji, z któréj Sejdlitz władzom krajowym sprawy nie zdawał, a przed królem tłómaczył się, że projektowane fortyfikacje Poznania, znaczne te fundusze pochłaniały. Dla tém pewniejszego łupienia mieszkańców, używano niesłychanych dawniéj sposobów. I tak: każdy z kontrybuentów zmuszony był składać przysięgę przed wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela, w obec oficera najbliższego posterunku, że przypadającą na siebie kwotę, wniesie do kassy wojskowéj w Poznaniu.


Leszczyński kazał ich do siebie przywołać, zbrodnie przebaczył i aby ich nędza znów do złego nie nęciła szczodrze ich obdarował.

August przekonany, że tylko wojskowa potęga zdoła utrzymać go na tronie polskim, dnie całe trawił na musztrowaniu organizującego się wojska polskiego. Nowo powstające chorągwie polskie, przybierały nazwisko swoich dowódzców, jak to było w użyciu w wojskach zagranicznych i tak: były chorągwie Sołdrskiego, Potockiego, Sapiehy i inne, które na wzór cudzoziemskich pułków, bez przyzwoitéj karności, wielkich dopuszczały się nadużyć na spokojnych pól i siół mieszkańcach.

Działania króla i ucisk powszechny w narodzie, wywołały powszechne oburzenie i narzekania. Lud biedny, najbliżéj nadużyciami dotknięty, płakał i szemrał głośno, czujna na swe przywileje szlachta, niechętném patrzała okiem na zachcenia tronu dziedzicznego Augusta i wzmocnienie korony wojskiem regularném, w którém widziała straszną przeciw swéj wolności broń, własnym jéj powstającą i utrzymać się mającą kosztem. Przedsięwzięła więc użyć w tak groźném położeniu, służącego jéj od wieków prawa zbrojnéj oppozycji. Powstały na wielu punktach Litwy i Korony konfederacje. Najliczniejsza i najsilniejsza z nich Tarnogrodzką zwana, zebrała się na Rusi Czerwonéj pod laską Stanisława Leduchowskiego, Podkomorzego Krzemienieckiego i zatrważającą dla króla przybrała postawę. August, jak to zwykł czynić w niebezpieczeństwie, udał się po radę i obronę do swych dawnych sprzymierzeńców, których niechęć i podejrzenia obudziły się na widok tworzącéj się silnéj polskiéj armji. Zimno od nich przyjęty, musiał na serio myśleć o obronie własnéj osoby. Przyjechał spiesznie z Drezna do Warszawy, ściągnął swe wojsko tak z Saksonji jak z fortec i przyległych prowincji i oddał pod dowództwo Flemingowi, który został pobity na głowę przez konfederatów.

Znaleźli się wtedy doradcy, którzy umieli bardzo zręcznie wmówić w króla, że nie jest pewnym tronu, dopóki 80,000 szlachty polskiéj stoi pod bronią; szlachcie zaś wytłomaczyli, że nie ma potrzeby obciążać się podatkami na utrzymanie licznego zastępu wojska, skoro granice Rzeczypospolitéj nowemi traktatami zawarowane, głównie zaś traktatem Karłowieckim z Portą; osłabienie Szwecji i przymierze z Rossją, aż nadto dostateczną są dla nietykalności państwa rękojmią. August który ślepo doradzcom zaufał i jedyną deskę zbawienia dla siebie w nich widział, stając się tu ślepém tylko narzędziem, pod pozorem nowych i koniecznych dla dobra swych poddanych reform, głównie zaś w kwestjach finansowych, zwołał sejm. Jakkolwiek szlachta w ogóle niechętnie płaciła podatki na wojsko, przecież część jéj oświeceńsza z niedowierzaniem i trwogą słuchała zdradzieckich insynuacji w kwestji redukcji wojska. Jakież było przerażenie nieszczęśliwych posłów gdy w zamian oczekiwanych projektów reform w administracji, skarbie, sądownictwie, usłyszeli podaną sobie w imieniu króla propozycję zmniejszenia armji polskiéj do 18,000 ludzi?....

Posłowie głębokiém milczeniem, jako jedyną pozostałą im bronią, odpowiedzieli na przełożone im projekta do praw. Milczenie wzięto za przyzwolenie, projekta przeszły, a naród posiedzenie to, przydomkiem *sejmu niemego* ochrzcił. August po rozjechaniu się posłów do domów, mianował komisarzy z missją rozpuszczenia dawnego wojska, łącznie z nowo-zaciężnemi konfederatami, około 90,000 głów liczącego i zajęcia się organizacją nowéj armji.

Uchwała ośmnastu tysięcy wojska, w państwie liczącém tyleż miljonów ludności i mającém na wszystkie strony otwarte granice, była prawdziwém urąganiem wielkości, powadze i samoistności tego narodu!... Rozpuszczenie sił konfederatów, było istną zdradą, niepoprawionym błędem politycznym, a pod względem statystycznym prawdziwą klęską—bo cóż było robić z massą ludzi, przeszło 60,000 głów wynoszącą, pozostałą bez zatrudnienia i chleba?...

Przestraszony August własném swojém i sprzymierzeńców dziełem, znaglił swoich stronników, aby oddalonych od służby oficerów zatrzymali jako dworzan przy swym boku, sam zaś poumieszczał wielu z nich po biórach i palestrach, nie zważając wcale na ich nieudolność w nowo powierzonych im urzędach; a dla ułatwienia jeszcze tych nominacji, wydał dekret, mocą którego jedynie szlachta herbowa z wyłączeniem mieszczan, posiadła przywiléj dzierżenia choćby

najskromniejszych w hierarchji sądowéj i administracyjnéj urzędów.

Nowo organizujące się wojsko polskie, dzieliło się na dwie główne armje, z których jedna zwała się narodową, druga cudzoziemską. Pierwszą składały lekka i ciężka kawalerja, druga była ubrana, uzbrojona i mustrowana wyłącznie na sposób saski, co gorsza, kommenda odbywała się w języku niemieckim, niezrozumiałym wcale dla wielu oficerów i wszystkich bez wyjątku żołnierzy. Wzamian za tyle niedorzecznych i opłakanych ustępstw, konfederacja Tarnogrodzka wyjednała przecie wyjście wojsk cudzoziemskich z granic Rzeczypospolitéj, z wyjątkiem 1,500 sasów, mających tworzyć osobistą przyboczną straż Augusta. Słabe zaprawdę wynagrodzenie, za okropne klęski i nieszczęścia, szarpiące od tylu lat nieszczęśliwą Polskę.

Ale posłuchajmy, jak sama Marja-Józefa, opowiada bratance swojéj szczegóły tych wielkich wypadków:

„W cichości ścian klasztornych, błagałam Pana, aby odwrócił ciążącą nad nieszczęśliwym narodem prawicę swoją. Dnia jednego, gdym modliła się w oratorium, jedna z moich służbowych zakonnic weszła z oznajmieniem, że pan starosta Ostrowski pragnie mówić ze mną i czeka mnie u kraty. Była to godzina niezwyczajna odwiedzin mego brata; przewidywałam, że cóś nadzwyczajnego, a najpewniéj niepomyślnego zajść musiało. Zeszłam spiesznie na dół. Po przywitaniu pytam starosty, co go tak nagle do mnie sprowadza?... — Przychodzę — odpowiada brat mój — prosić was najusilniéj, abyście natychmiast z moją żoną do Wiednia wyjechały; wiadomo wam co się dzieje? Wszędzie gromadzą się konfederacje: Poznańczycy i Tarnogrodzianie grożą wojskom królewskim, król jest w niebezpieczeństwie; w téj chwili naradza się i przewidzieć nie można co nastąpi. Trzeba abyście unikając widoku wojny domowéj wyjechali do Wiednia, gdzie mamy rodzinę i krewnych, wszak i tam są klasztory, gdzie można oczekiwać w spokoju i modlitwie wyroku stolicy apostolskiéj w sprawie Waszéj. — Dziwi mnie — odpowiedziałam — że mi doradzacie ucieczkę, gdy ojczyzna znajduje się nad brzegiem przepaści. Dzieliłam jéj spokój, dziś dzielić powinnam również złą dolę; pożywam jéj chleb, wypłacić się więc muszę miłością i poświęceniem dla niéj. Ucieczkę z kraju w czasie wojny, pomoru i t. p. klęsk, uważałam zawsze za podłe samolubstwo, a co więcéj za ohydną zdradę — jako biedna pokutnica, modlitwą tylko mogę być użyteczną — modlitwa zaś na polskiéj ziemi, z polskiego płynąca serca, snadniéj wysłuchaną będzie. —Boże daj aby tak było. Co do mnie, nie łudzę się nadzieją, aby sprawa konfederatów szczęśliwy wzięła obrót. Żądają podobno uchwały sejmowéj, ograniczającéj liczbę wojska polskiego; zaślepienie niektórych z pomiędzy szlachty doszło do tego stopnia, że projekt przypadł im do smaku.— To dobrze — mówili w częstych przedsejmikowych pogadankach, mniejsza o to, nie będziemy płacili podatku na wojsko, to temu szwabowi Augustowi, ukróci się władza. On myśli, że z nami taka łatwa sprawa jak z jego niemieckiemi grafami, którzy ścielą mu się pod nogi. Niech wie, że szlachcic na zagrodzie, równający się wojewodzie i królowi przykrócić wąsów potrafi. Jakże się ma dobrze dziać w Rzeczypospolitej — ciągnął daléj starosta — kiedy w niéj wszyscy rządzą, a nikt słuchać nie chce. Boże daj, aby proroctwo wiekopomnéj pamięci Jana-Kazimierza przy składaniu korony, nie ziściło się, a wielkie do tego widzę podobieństwo. Tu brat mój głęboko westchnął, łza zabłysła mu w oku. — Losy państw — odpowiedziałam — są w ręku Boga. On niemi kieruje i rządzi, jak dobry ojciec dziećmi swojemi. — Jakże więc — przerwał starosta — pozostajecie tutaj lub jedziecie do Wiednia?... — Pozwólcie bracie, że po raz pierwszy rady waszéj nie słucham i na miejscu pozostanę. — Zkądże taka *junakierja?...* — Nie jest to junakierja, ale głęboka wiara, że bez woli Pana, włos z głowy mojéj nie spadnie. Mam silną wolę pozostać, a najświętszy obowiązek dzielić z mojemi ziomkami ich nieszczęśliwe losy.“

Opatrzność raz jeszcze wejrzała miłosiernem okiem na Polskę; wojska cudzoziemskie, jakkolwiek wolno i niechętnie, potrochu wracały do swoich siedzib; skonfederowana szlachta rozjechała się do domów, a król zasiadł na tronie, gdzie oprócz

kilku drobnych przeciwności, o których powiemy w swoim czasie, żaden ważniejszy wypadek spokoju mu nie zakłócił. Ale była to tylko chwilowa pogoda, poprzedzająca straszną, długą, bo dwa wieki blisko trwającą burzę. August jakkolwiek waleczny w boju, energiczny, czujny, nie obawiający się już pokonanych współzawodników do korony, nie mógł powstrzymać państwa, w szybkim jego biegu ku przepaści, w którą go prąd wypadków popychał.

Dziwić się należy, że w pośród tak przykrych dla kraju wróżb i okoliczności, August znalazł jeszcze w łonie zdrowszéj części narodu dosyć silne stronnictwo, równoważące działania jego nieprzyjaciół. Musiał on mieć w duszy i usposobieniu pewną trafiającą do usposobień i charakteru narodu stronę. W rzeczy saméj, podobał się polakom swą rycerską postawą, nieustraszonością w boju, energią w działaniach, niezrównaną siłą muskularną. Sława wojennych jego czynów, poprzedziła pierwszy jego wybór. Dwór jego był jednym z najwytworniejszych i najwspanialszych w Europie. Dziś jeszcze z zadumieniem czytamy opisy wydawanych tam uczt i balów, a dzieje na dowód wytworności króla, podają osobliwszy fakt, jakoby miał sprzedać pułk dragonów Fryderykowi Wilhelmowi Pruskiemu, za dwanaście porcelanowych wazonów. August oprócz zalet o których mówiliśmy, umiał także utrzymać godność polaków w pośród innych narodów; godził zniewieściałość życia nieporządnego z hartem i niebezpieczeństwem obozów, co mu zjednać musiało naród rycerski. Ale cóż z tego?... Głaszcząc jedną ręką szlachetne polaków popędy, drugą podawał im czarę zepsuciem i trucizną zaprawną. Zbytek rozsiadłszy się w pałacach możnych, dotarł aż pod strzechę szlachecką, a że przedewszystkiém pochłaniał pieniądze, świętokradzką ręką sięgnął po złoto, nie bacząc na źródło, z którego je miał czerpać.

(D. c. n.)

DWADZIEŚCIA CZTERY GODZIN W HISZPANJI.

Biarritz 20 *Sierpnia* 1861 *roku.*

Wieczór się zbliżał, dość widno jednak jeszcze było, aby zdala na wzbierającém morzu, dostrzedz okiem mnóstwo białych żagli przesuwających się na widnokręgu. Siedziałam w mym pokoju przy otwartém oknie, a widok morza, tego świata pełnego ruchu i niepokoju, w dziwne mię pogrążał marzenie.

O! kto nigdy nie widział zachodzącego słońca nad morzem, kto nigdy nie słyszał tego głosu silnego, nieustającego, którym ta bezdeń odzywać się zdaje, ten niepojmie jak pełnym wzruszeń jest podobny widok, jak zdolnym do wzniesienia ducha gdzieś daleko po nad przestwory, w nieskończoność, aż się ukorzy przed Tym, którego wszechwładzę tu tak widocznie się poznaje.

Upływający dzień był nadzwyczaj gorący, wieczór groził burzą, bo na krańcowych falach morskich osiadły chmury czarne, ponure, brzemienne grzmotami. Wkrótce słońce ozłociło te chmury i kryjąc się za nie, jakimś dziwnym blaskiem fale oświeciło; zdawały się całe jak ze krwi i złota. Zwolna przybierać poczęły coraz ciemniejszą barwę, aż w jednéj chwili chmury się podniosły i słońce okazało się w całym swym blasku, łamiąc najfantastyczniéj tysiące swych promieni w tysiącznych falach, aż nareście całkiem zapadło i jasność barw powoli zginęła. Już i zdala na lewéj stronie sterczące wierzchołki Pyreneów szarzeć się w mgle zaczęły, a po prawéj migocące światełko latarni morskiéj, błyszczało coraz to jaśniéj. Morze jednak równie groźnie huczało, a bałwany coraz wyżéj rosnące, zdala jeszcze okrywały się białą pianą i goniąc jeden za drugiemi, z rykiem przeskakując przez skały z pod wody sterczące, tak się gwałtownie o brzeg na którym mieszkanie nasze stało rozbijały, że często

kurzawa mokra i słona aż do mnie dochodziła. Ja siedziałam nieruchoma z oczami w fale wlepionemi, powtarzając machinalnie słowa które lat temu kilka, Deotyma w mojéj obecności na widok morza wyrzekła:

„Ciebie więc ciebie, spotykam wędrownie,
„Ciebie co nosisz szmaragdy na czole,
„Szklistym taranem podmywasz warownie,
„O najszaleńszy żywiole!
„Swiecie chaosów,
„Ty łzo niebiosów,
„Ty oko Boże,
„O Morze!“

W tém wesołe głosy i pośpieszne kroki, wyrwały mię z mojéj zadumy.

— O! moja kochana, zawołał brat mój, wpadając do mego pokoju w towarzystwie kilku panów: już to nic nie pomoże, ale musisz przystać na nasz projekt. Wystaw sobie i statek przybył do Bayonny układający „*voyage de plaisir*“ i wszyscy ztąd się zbierają i najsławniejszych matadorów z Madrytu się spodziewają! A to byłby grzech nie do darowania, być na granicy hiszpańskiéj i nie widzieć walki byków, to to samo co być w Rzymie, a papieżą nie oglądać!

Wyrzuciwszy z siebie ten potok wyrazów, usiadł zadyszany, a ja zupełnie nie rozumiejąc o co mu chodzi, spojrzałam się pytająco na przybyłych z nim.

— Rzecz się tak ma, rzekł don Rodrigo Acuna markiz de Bedmar, y Aviz y Hermana etc etc., młody Hiszpan, nieodstępny towarzysz mego brata—wie pani zapewnie że 14 t. m. ma się odbyć wielka walka byków w *St. Sébastien* mieście odległém ztąd mil 14, a że przybył do Bayonny statek parowy „*El Comercio*“ w zamiarze zabierania ztąd ciekawych tego widowiska, będzie to wcale nie utrudzająca podróż. Radziłbym więc państwu, abyście tę wycieczkę zrobili,—prawdziwie to warto. Przyznaję że radbym aby pani trochę nasz kraj poznała, a nigdzie się tak dobrze charakter ludu nie maluje, jak na tych igrzyskach, które go tak zachwycają. Statek odpływa pojutrze rano, a dnia trzeciego będzie z powrotem w Bayonnie!

— Ależ tak jechać w kraj obcy nieznając języka, nie damy sobie rady odparłam.

— Don Rodrigo tak jest grzeczny — przerwał pan K. polak z Ukrajny „że nas wszystkich pod swe skrzydła wziąść obiecuje.“

—Niech pani tylko przystanie, a słowem ręczę dodał don Rodrigo, że tego pani żałować nie będzie, biorę wszystko na siebie. Dziś jeszcze ztąd odjeżdża jeden z moich znajomych, więc nam wcześnie najmie pomieszkanie i miejsce w cyrku zamówi.

— A jak będzie z paszportami?

— Jutro je konsulowie w Bayonnie zawizują.

Wahałam się jeszcze czas jakiś, ale na wszystkie moje zarzuty mieli ci panowie łatwą odpowiedź, przytém brat mój, tak mi wymownie przedstawił konieczność widzenia *El Cucheres'a* sławnego matadora, któren w St. Sébastien miał się znajdować, żem nareście przystała. Przyznaję że i mnie się bardzo uśmiechała myśl téj wycieczki, a osobliwie widzenia w całéj jego żywości tego ludu hiszpańskiego o którym tyle słyszałam.

Nazajutrz dzień prawie cały zszedł na przygotowaniach do zamierzonéj podróży. Panowie nasi od rana już pojechali do Bayonny miejsce na statku zamówić, paszporta zaawizować, francuzkie franki na hiszpańskie dublony zamienić. Ja zaś z niespokojnością poglądałam na morze, które jakoś bardzo groźno wyglądało, bo choć dzięki parze nasza przeprawa miała trwać tylko cztery godzin, zawsze jednak myśl choroby morskiéj nie bardzo mi się uśmiechała. Nadszedł nareście dzień oczekiwany, o 5éj rano jak zwykle przyniosła mi mleczarka świeże ośle mleko, lecz tą razą nie zasypiając już na nowo, pobiegłam co tchu do okna.

Dzień był prześliczny, ani jednéj chmurki na niebie, świeży wietrzyk lekko marszczył powierzchnią wód, powietrze tak było przezroczyste, że dalej niż zwykle po brzegach zatoki Biskajskiéj oko sięgać mogło, nawet wyraźnie dostrzegłam wieczyste śniegi, na wierzchołkach odległych Pireneów. Uradowana co tchu wzięłam się do ubierania, posławszy pierwéj obudzić brata, bo ten ulubieniec Morfeusza zwykle w jego objęciu dość długo zostawał.

Wkrótce całe nasze towarzystwo zebrało się na umówioném miejscu, to jest

na podwórzu hotelu francuzkiego, a było ono dość różnorodne. Więc najprzód oprócz nas i pp. K. i Cz. dwóch polaków z Ukrainy, zjawiło się młode małżeństwo mołdawskie, daléj holender *Elout*, któren jako człowiek rachunkowy i poważny został wybrany na kassjera całego towarzystwa, Javiero Decenas, hiszpan rodem z Chili, któren jako mówiący po hiszpańsku a przytem wielki miłośnik wykwintnego stołu, ofiarował się być dostarczycielem naszéj żywności i nareście don Rodrigo mistrz ceremonji i przewodnik nasz.

Zaszedł ogromny *omnibus de famille* i zabrawszy się nim wszyscy, w bardzo wesołém usposobieniu ruszyliśmy ku Bayonnie.

Wkrótce też wjechaliśmy w piękne aleje prowadzące do tego miasta, ale tak wszyscy zajęci byliśmy naszą wyprawą, żeśmy nawet uwagi nie zwracali na pyszne ogrody, na ogromne magnolie, laury, na roskoszne pomarańczowe drzewa, które w pełnym kwiecie będąc, dziwnie balsamiczną wonią powietrze napełniały.

Siódma biła, gdyśmy do portu przybyli, parowiec już syczał i huczał, flaga hiszpańska powiewała na maszcie, a majtkowie w czerwonych kaftanach z oliwkowemi twarzami uwijali się na pomoście. Don Rodrigo z Olesiem (bratem moim) weszli na statek dla upatrzenia nam miejsca, myśmy tymczasem siadły na naszych tłomoczkach, przypatrując się coraz to liczniéj nadchodzącym współtowarzyszom podróży. Chilijczyk na boku witał się z jakimś biało ubranym panem i wkrótce zbliżywszy się do nas, zapytał: czy nie mamy nic przeciwko temu aby ten młody Francuz, jego znajomy z Paryża, przyłączył się do naszego towarzystwa? Przystaliśmy chętnie i nastąpiło przedstawienie. Wice-hrabia Odoard le Rebours, oficer artyllerji, umyślnie tu z Paryża przybył, żeby do St. Sébastien na 14go zdążyć, lecz nie umiejąc ani słowa po hiszpańsku uszczęśliwiony był, że się mógł dostać pod opiekuńcze skrzydła naszych hiszpanów.

Lecz oto słychać dzwonek, ruch i zamieszanie się wzmaga i wkrótce już jesteśmy na pokładzie statku, któren zwolna od brzegu odbija, sunąc się po gładkich jak zwierciadło wodach Adour'u.

Ale niedługo téj spokojności, oto już na przodzie statku widać wznoszący się wysoki wał wodny straszny *mascaret*. Jest to dziwne zjawisko, powtarzające się przy ujściu każdéj prawie rzeki do morza. Prąd fal morskich pcha wody w jedną stronę, rzeka zaś z całą siłą odpycha je. Z tego pasowania się dwóch wód tworzy się od brzegu do brzegu, wysoki bałwan, któren to wznosząc się, to zapadając gwałtownie, tworzy przykre przejście dla okrętu. Podczas przypływu morze jest silniejsze i wtenczas wpycha nazad gwałtownie się wdzierające wody rzeki i dla tego to, czasem o kilkadziesiąt mil w głąb kraju dają się czuć na brzegach rzek godziny przypływu i odpływu morza.

Silne kołysanie statku i blednące twarze wielu osób, które już pierwsze objawy choroby morskiéj uczuły, dały nam poznać, że przebywamy ową rogatkę oceanu i oto już jesteśmy na pełném morzu. Siłą pary gnani, wkrótce straciliśmy z oczu Bayonnę i zdala tylko za pomocą teleskopu, ujrzeliśmy Biarritz i ostatnie wierzchołki Pireneów, kończące się w morzu. Wkrótce i to nam z oczu zniknęło i tylko ogromny przestwór nieskończoności nas otoczał.

Czas był prześliczny, morze koloru szmaragdowego lekko nas tylko kołysało, pomimo tego biedny mój brat, już od pół godziny leżał blady i skrzywiony, choroba morska nim owładnęła. Ja się trzymałam doskonale i siedząc na pokładzie przypatrzyłam się licznym towarzyszom przeprawy; było ich ze 200, wszystko to niskie, krępe i czarne z silnym gaskońskim akcentem, okazywało, że dzieci brzegów Garonny szczególniejszy pociąg do widowisk krwawych mają.

Gawęda się żwawo toczyła w naszém rożnorodném kółku. Chilijczyk porównywał Pireneje z Kordyljerami i unosił się nad wspomnieniem swego kraju. Francuz opowiadał nam różne szczegóły i ciekawe zdarzenia, z ostatniéj do Chin wyprawy w któréj uczestniczył, hiszpan sprzeczał się z mołdawianinem o różnicy win hiszpańskich a węgierskich, Holender zaś klął pocichu na nieporządek i brak czystości na statku, co chwila powtarzając z pewną dumą: „Chez nous en Hollande!...“

Tak prędko nam czas schodził, że aniśmy się spostrzegli jak statek znowu do brzegu zbliżać się począł, dopiero zwiększony ruch i przygotowania dały nam poznać że do celu podróży dobijamy. Udaliśmy się na przód statku, właśnie gdy dwoma wystrzałami z małych armatek na ten cel przeznaczonych, oznajmiono Hiszpanji nasze przybycie.

Cudny widok przed naszemi oczami się rozwijał. Z jednéj i z drugiéj strony dwie wysokie skały, daleko w morze wystające, tworzyły jakby bramę broniącą wejścia do zatoki, na wierzchołkach ich sterczały baszty obronne z narodowemi hiszpańskiemi flagami.

Wpłynęliśmy w to wązkie zaledwie 200 sążni mające przejście, a oko nasze objęło szeroko się rozlewającą zatokę; brzegi jéj wszędzie świeciły zielonością, w dali widać było pasmo gór okrytych ciemnemi lasami, a u ich podnóża rozsiadło się w półkole, obronne miasto St. Sébastien. Jakże się jaskrawo odbijały pod tym płomienistém południowém słońcem, jego czerwone mury, wyniosłe bastiony, złocone wieżyce! A morze?... morze spokojne jak łza, leżało w téj zatoce, już nie szmaragdowe, ale dziwnego,oko porywaiącego,zielonego jak trawa majowa koloru. Stanęliśmy chwilę czekając na sternika któren mieszka na jednéj z wyżéj wspomnianych skał: na znak dany, zbliżył się do nas w maleńkiéj łódce. Para zasyczała na nowo i w kwandrans późniéj przybyliśmy do portu. Ale jakże tu opisać ten ruch, ten zgiełk, tę wrzawę, która w jednéj chwili nas otoczyła. Kto nie widział ludu krain południowych, ten nigdy zrozumieć nie potrafi, do jakiego oni zamieszania, krzyku i hałasu są zdolni przy najmniejszéj czynności. Włoch i Hiszpan nie poda ci szklanki wody, nie nakrzyczawszy, nie nagestykulowawszy pierwéj. Zdaje się jakby ten nadmiar życia, które oni w sobie mają, musiał się ciągle na wierzch wylewać.

W jednéj téż chwili, opadnięci zostaliśmy chmarą łódek, łódeczek, z obdartemi, osmalonemi i dziko wyglądającemi wioślarzami, którzy nawet nie czekając aż statek kotwicę zarzuci, powdrapywali się na pokład, łapiąc to za tłomoczki, to za podróżnych, pchając ich gwałtem do swych łódek a kłócąc się i przeklinając wzajemnie. Już nie wiem doprawdy jakbyśmy sobie radę dali w tym chaosie, gdyby nie don Rodrigo i Chilijczyk, którzy za pomocą dobitnych wyrażeń, potrafili przecie jakimś cudem usadowić nas i nasze rzeczy w dwóch łódkach, których wioślarze już odbijając, jeszcze krzyczeli na pozostałych i pięści im pokazywali. Nareszcie wysiadamy z wielką radością mego brata, któremu jeszcze się zdaje, że się ziemia pod nim kołysze. Na pierwsze powitanie hiszpańskiéj ziemi, uderzył nas bardzo niemiły zapach, daleko bo tu do wyszukanéj czystości francuzkich miast portowych, tu wszelkie nieczystości z miasta w porcie się zbierają i dziś nawet pomimo święta pełno obrzynków z jarzyn, ryb zdechłych etc., leży na kamiennym debarkaderze. Zatkawszy sobie nosy chustkami, co prędzéj uchodziliśmy z tego przybytku nieporządku, aż oto znowu nas opadają usłużni a wrzeszczący posługacze, którzy łapiąc nasze tłomoczki, koniecznie chcą nam drogę wskazywać. Dochodzimy nareszcie do komory celnéj, gdzie tylko dla formalności spytano o kontrabandę, nie zaglądając nawet do paszportów i przebywszy bramę i most zwodzony, znaleźliśmy się na ulicach miasta.

Tu wszystko już miało minę świąteczną, nad każdym prawie domem powiewała czerwono-żółta flaga, na ulicach pełno ludu, wszystko to śpiewające, uśmiechnięte, rozbawione. Lekkie karykle i dziwnéj formy powozy, snują się jedne za drugiemi, widać że wszyscy dopiero z nabożeństwa wracają, bo u każdéj *senority* książka do modlitwy w jednéj, a wachlarz w drugiéj ręce. A co téż wachlarzy! Kobiety, mężczyzni strojni *caballeros* i obdarci *muchachos* wszystko to się wachluje; przechodzimy koło odwachu i tu odpoczywający żołnierze, jedną ręką trzymają karabin a drugą wachlarz różnokolorowy. Ale bo téż gorąco niesłychane i dobrze nam się dało we znaki, gdyśmy przebiegali ulice szukając *la Fonda del Parador real*, gdzieśmy się spodziewali znaleść mieszkanie. Poprzedzały nas ładne dziewczęta, króciutko ubrane w ponsowych spódniczkach, które wybrał don Rodrigo, z pomiędzy tłumu narzucających nam się posługaczów, zapewne przez wzgląd na płeć

piękną. Niosąc nasze tłomoczki na głowach, podskakiwały one wesoło, zarzucając nas pytaniami, na któreśmy naturalnie odpowiadać nie umieli.

Przebyliśmy duży plac, na którym przy odgłosie muzyki, ładnie umundurowane wojsko ewolucje czyniło i doszliśmy nareście do jakiejś wązkiéj uliczki która miała nas do hotelu zaprowadzić, gdy nowa przeszkoda nas wstrzymała. Powóz w którym kilku młodych ludzi siedziało, stał na środku, zatrzymany przez jakiegoś wieśniaka, któren płaszczem owinięty, leżał napoprzek ulicy, tamując zupełnie swoją osobą przejście.

Spór ożywiony, ciągnął się między nim a siedzącymi w powozie.

— Co to jest? zapytałam don Rodriga.

— Ma pani przykład wolności i hardości ludu naszego—odpowiedział. Ten poczciwiec uczuł się zmęczonym, więc się położył w cieniu i nie chce się ruszyć, utrzymując iż ulica tak dobrze do niego jak i do innych należy i że choćby sam król jechał, to się nie ruszy.

— Bo też ci panowie proszą się go — zawołał w gorącéj wodzie kąpany pan K. ja bym go po naszemu poczęstował, toby się z pewnością ustąpił.

— O mój kochany panie — to nie wasza Ukraina! ten sztylet, który mu u pasa wisi, nie jest tylko pieścidełkiem w ręku hiszpańskiego wieśniaka, zresztą jedno nawet niegrzeczne słówko, byłoby zdolne krwawą bójkę wywołać. Sprobuję ja łatwiejszego sposobu, do zmiękczenia tego jegomości. To mówiąc don Rodrigo zbliżył się do leżącego spokojnie wieśniaka i ukłoniwszy mu się grzecznie, zaczął mu coś przekładać, wskazując na nas. W jednéj chwili, tenże zerwał się z ziemi i z majestatyczną miną drapując się w płaszcz, zaczął coś do nas mówić przykładając rękę do serca. Nic niezrozumiawszy naturalnie z jego mowy; podziękowawszy mu skinieniem głowy, pospieszyliśmy już wolną teraz ulicą, pytając się don Rodriga czego on od nas chciał?

— Zaręczał panie — że jest wdzięczny niebiosom, które mu pozwoliły, tak małą rzeczą przysługę pięknym senoritom zrobić.

Śmiejąc się jeszcze z tak wysokiéj galanterji prostego wieśniaka, dotarliśmy nareszcie do upragnionego hotelu „del parador real“ i znalazłszy pokoje dla nas zamówione, odpoczęliśmy przecież w chłodzie, posilając się wyborną czekoladą, ale w tak maleńkich filiżaneczkach podaną, że 3 porcje zaledwie wystarczające były do nasycenia jednego polskiego żołądka. Odpocząwszy nieco, don Rodrigo z Olesiem poszli kupować bilety do cyrku. Chilijczyk odprawił gastronomiczną naradę z gospodynią co do obiadu, który na nasze prośby miał być w czysto hiszpańskim stylu; inni panowie odeszli do siebie.

Miałyśmy parę godzin czasu przed sobą, gdyż o 4éj dopiero widowisko się zaczynało, ogarnąwszy się więc nieco, kazałyśmy sobie przynieść wybornych pomarańcz i usiadłyśmy na balkonie, przypatrując się snującemu się ludowi. A było na co patrzyć; to wojsko z muzyką na czele przechodziło szybkim krokiem, to piękne *senoritas* [1]) w mantyllach czarnych, z wachlarzem w ręku przechadzały się wsparte na ramieniu strojnych *caballeros* [2]); daléj zgrabne *manolas* [3]) trzymając się za ręce podskakiwały wesoło, otoczone kilkonastoma *majos* [4]), w jaskrawych narodowych strojach, gdzie niegdzie przesuwał się ksiądz w szerokim i długim czarnym płaszczu, w ogromnym, formy czółna kapeluszu na głowie, słowem był to obraz pełen rozmaitości i kolorytu. Balkon nasz okryty oponą z żaglowego płótna zasłaniał nas od promieni słonecznych, przepuszczając jednakże lekki powiew morskiego wiatru, chłodził ciemne pokoiki. Wybornie nam też tu było! Pomału i panowie nasi schodzić się zaczęli, a Francuz swojemi dowcipnemi uwagami, podnosił jeszcze i tak już urozmaicony widok.

* * *

Bije wpół do czwartéj — wpada don Rodrigo zadyszany wołając: „Prędzéj, prędzéj, znalazłem przecież lożę i to w cieniu, mam i powóz, niech panie siadają, my się poczepiamy jak będziemy mogli, bo to dość daleko za miastem!.“ Siadamy więc, zgiełk i wrzawa na ulicach ogromna, ludu wszędzie

[1]) damy [2]) kawalerowie [3]) dziewczęta [4]) młodzieńcy.

pełno, powozy jedne za drugiemi zwolna postępują, a wszystko to ciągnie w stronę cyrku.

Z każdéj strony pełno ruchu, wieśniacy przybywają tłumem z okolicy, konno, na mułach, na osłach, jak który może; *calessino* rodzaj *char à bancs* napełnione świeżemi twarzyczkami dam, sunie się zwolna się coraz zwiększają, tak ciasno na ulicach, że powozy zaledwie postępować zdołają, na wszystkich twarzach widać taki zapał, taką radość, zdaje się jakby cały ten lud żył tylko chwilą teraźniejszą.

Nareście wyjeżdżamy już za miasto i wkrótce zatrzymujemy się na obszernym placu, na środku którego wznosi się cyrk.



Mieszkańcy St. Sébastien i Baskowie.

ciągnione przez najrozmaiciéj upstrzone muły, brzęczące dzwonkami. Gdzie niegdzie przesuwają się eleganckie powozy, pysznemi końmi ciągnione, a w nich strojne damy w narodowéj mantylli. Najfantastyczniejsze krzyki odpowiadają sobie, najkomiczniejsze rozmowy krzyżują się pomiędzy jadącemi a idącemi, zaczepiają się wzajemnie, odpowiadają, śmieją, jest to fajerwerk wyrazów, żartów i śmiechów. Tłumy Moc ludu niesłychana plac ten zapełnia i czekając widowiska skupia się koło przekupek sprzedających limonjadę, owoce i *aguardiente* rodzaj wódki. Wchodzimy — arena jest to wielkie koło piaskiem wysypane, a otoczone gradusami wznoszącemi się do wysokości pięciopiętrowego domu, i mogące pomieścić do 15,000 widzów. Trudno sobie wyobrazić dziwniejszego a wspanialszego widoku, jak ten, którzyśmy

w téj chwili przed oczami mieli. Te ogromne gradusy okryte ludem ognistym, namiętnym, który oczekując w niecierpliwości, zabawia się tym czasem najoryginalniejszemi bufonadami. Tu jedni tańcują na ławkach, drudzy skaczą przez głowy niżéj siedzących, kilku *muchachos* [1]) wywracają koziołki na pustéj jeszcze arenie, podczas gdy *las manolas* to śpiewając, to podrygując wesoło, przesyłają swoim *novios* [2]) pocałunki od ust. Dodać do tego jeszcze te twarze ogorzałe, rumiane, świecące oczy, te ubiory różnobarwne, te tysiące rozmaitéj wielkości wachlarzy, od góry do dołu na wszystkich gradusach się ruszających, ten pisk, hałas i wrzawę, a słaby będziemy mieli obraz widoku, jaki przedstawia cyrk w *dia de toros*.

Czwarta bije, na chwilę wrzawa ucicha, wszyscy już na swych miejscach siedzą, korzystajmy z téj chwili spokoju, by się przypatrzyć cyrkowi.

Na około areny wielkości prawdziwie rzymskiéj, wznosi się barjera czerwono malowana, a mająca 6 stóp wysokości, otoczona jest na 2 stóp nad ziemią rodzajem stopnia służącego *chulosom* do przeskakiwania jéj, w razie niebezpieczeństwa. Barjera ta zowie się *las tablas* a jest w niéj drzwi kilka. Za nią ciągnie się wązki korytarz służący za schronienie i miejsce spoczynku dla zmęczonych *torerów*, otoczony on jest drugą nieco wyższą barjerą, a za nią dopiero wznoszą się w około gradusy przeznaczone dla publiczności, a wyżéj jeszcze mieszczą się loże zwane *palcos*. Cyrk cały nie ma dachu, to też połowę jego oblewają palące promienie słońca, a miejsca w cieniu płacą się dwa razy drożéj.

Na przeciwko bramy *torila* [3]) (którędy byk bywa wypuszczony), wznosi się loża *ayuntamienta* czyli gubernatora miasta, upstrzona narodowemi flagami.

W tém trąby zagrzmiały, jedna z bram się otwiera, wchodzi cały skład torerów z muzyką na czele i processjonalnie arenę obchodzą. Więc naprzód idą *chulosy* i *banderillosy*, ci są pieszo, ubranie ich składa się z krótkich atłasowych spodni, z kaftana takiegoż jaskrawego koloru, z jedwabnych pończoch i płytkich trzewików. Chulosy niosą na ręku *la capa* rodzaj płaszcza jedwabnego czerwonego lub żółtego, którym drażnią byka i odciągają go tym sposobem, gdy niebezpieczeństwo grozi pikadorom.

Banderillosy tak samo ubrani, niosą małe strzałki z kolorowemi chorągiewkami, które wtykać powinni w grzbiet zwierzęcia. Są to wszystko zgrabne i młode chłopcy z wciętą kibicią i wysmukłą postacią.

Za tą pieszą armją, postępują konno *pikadory*. Konie ich z bogatemi rzędami mają oczy zawiązane, aby przestraszone widokiem rozjuszonego byka, nie zrzuciły swoich jezdzców. Pikadory są ślicznie ubrani, mają na sobie krótki aksamitny kaftan otwarty z przodu, cały misternie złotem naszywany, takąż samą kamizelkę, szeroki pas jedwabny ponsowy ze złotemi frendzlami, związany z boku z końcami wiszącemi aż do kolan, koszulę z żabotami i spodnie z łosiowéj skóry, szerokie bo kryjące pod sobą wysokie żelazne buty, któremi się chronią od spiczastych rogów byka. Na głowach mają szerokie pilśniowe kapelusze z strusiemi piórami, a w ręku długą lancę drewnianą z żelaznym szpicem. Za pikadorami postępowali poważnie i dumnie dwaj matadorowie czyli *la prima e seconda espada*. Ubior ich różnił się tylko od ubioru pikadorów krótkiemi aksamitnemi spodniami i bogactwem haftu, a jest to prawdziwy andaluzyjski strój. Sławny „*El Cucheres*“ przybyły naumyślnie z Madrytu wraz z drugim młodym matadorem zwanym „*El Pepo*“ któren dziś po raz pierwszy miał probować swéj siły, szedł smiało z głową odkrytą, dumnie się na widzów patrząc, jakby wiedząc że go wkrótce tysiącem oklasków obsypią.

Kończyli pochód rozmaici posługacze, wszyscy strojno i zgrabnie ubrani. Wyszli nareście, muzyka ucichła a na ich miejsce wsunął się na koniu w szerokim czarnym płaszczu, w wysokiéj krezie, w kapeluszu z ponsowém strusiém piórem, słowem, w całkowitym ubiorze z czasów Henryka IV *alguazil* czyli komisarz policji.

W Hiszpanji wszystko co się tyczy policji nie używa wielkiéj wziętości i tu ukazanie się jéj, wznieciło całą burzę krzyków

[1]) Chłopcy [2]) narzeczonym [3]) stajnia byków.

świstań, śmiechów, obelg a nawet pocisków, szczęściem że policja tutejsza nie zbyt obraźliwa, znać przyzwyczajona do takiego przyjęcia.

Alguazil stanął przed lożą *ayuntamienta* odebrał z rąk jego klucze *torila* (miejsce gdzie byki są zamknięte), pojechał do bramy i rzuciwszy klucze pod nogi pilnującego téj bramy *chulosa*, uciekł co tchu ścigany pieczonemi jabłkami, ogryzkami z pomarańcz, przekleństwami i śmiechem tłumu. Zagrzmiały trąby i kotły, wrzawa ucichła, zaczyna się dramatyczna część widowiska. Otworzono bramę *torila*, wypada byk duży czarny z ogromnemi spiczastemi rogami, staje i głośno chrapnąwszy, rzuca się na stojącego obok pikadora. A był to mężczyzna silnéj budowy, atletycznéj postaci, twarz jego śniada była poważna, w oczach miał wyraz dumny i postawę prawie heroiczną. Gdy ujrzał byka o kilka kroków od siebie, nastawił zwolna lancę i ani się wzruszył na siodle, gdy tenże z całą wściekłością natarł na niego, lanca mu weszła lekko w łopatkę (albowiem gdzie indziéj nie wolno ranić byka) odskoczył, odwrócił się i natychmiast pobiegł ku drugiemu pikadorowi na drugiéj stronie cyrku stojącemu, lecz i ten go odparł swą lancą, raniwszy go z lekka; to podwoiło gniew zwierzęcia, rzucił się powtórnie i tak gwałtownie uderzył, że cały jeden róg utonął w piersiach konia, który upadł, a pikador padając wsunął się pod konia, co było dowodem wielkiéj zręczności, to też okrzyki *bravo picador! bravo!* rozległy się po cyrku.

Chmara chulosów wnet przyleciała i podczas gdy jedni wiewając swemi kapami nęcili byka który zaczął ich gonić, drudzy wyciągnęli pikadora z pod konia i pomogli mu przeskoczyć przez *tablas*. Rozumiecie, że pikador cały w żelazo okuty, nie mógł tego sam z łatwością wykonać.

Byk tymczasem ugania się za *chulosami* i jest to prawdziwie ładne widowisko. Przybiegają, wiewają mu przed oczami swemi różnokolorowemi kapami i znów się rozbiegają na wszystkie strony, a za bliższém natarciem w mgnieniu oka przeskakują przez *tablas*.

Wkrótce pikador któremu padł koń, wraca na świeżym rumaku i staje znów w pogotowiu, ale byk zaczyna tracić odwagę. Zniechęcony pikadorami którzy go lancą witają, zadziwiony iż mu chulosy przed samym nosem znikają, stanął, zwiesił głowę i może rozmyślać począł o zieloném pastwisku lub wygodnéj stajni. Próżno go chulosy zaczepiali coraz się bliżéj przysuwając, on stał nieruchomy, aż mu jeden z nich przebiegając tuż obok, zasadził na róg swą czapeczkę czerwoną; ta obelga rozgniewała zwierzę, rzucił się za śmiałkiem który ledwie miał czas schronić się za tablas.

Znów zatrąbiono, wpadają *banderillosy*. Jak byk zaczyna być zmęczonym i tracić ochotę do walki, przybywają banderillosowie, którzy, powinni wtykać mu w grzbiet małe strzałki z chorągiewkami papierowemi, które go do wściekłości doprowadzają, a jest to rzecz trudna i wymagająca wielkiéj zręczności. Jeden z banderillosów osobliwie odznaczył się, lotem strzały lecąc wtykał obiedwie strzałki pomiędzy rogi rozjuszonego zwierza i biegł daléj podskakując i bijąc takie *entrechats* żeby ich się nawet najbieglejszy baletnik nie powstydził. Banderille dopięły swego celu; byk rozjątrzony rzucił się na zwolna galopującego pikadora i w mgnieniu oka rozpruł mu konia, jednak już widocznie zaczął siły tracić.

Alkad dał znak, pikadory i chulosy opuścili arenę, znów trąby zagrzmiały i wszedł matador *la prima espada* El Cucheres. Skłonił się przed *ayuntamientem* i miał do niego przemowę, w któréj go prosił o pozwolenie zabicia tego byka za szczęście Hiszpanji i za zdrowie królowéj. Otrzymawszy takowe, odwrócił się, postąpił kilka kroków i stanął oczekując nieprzyjaciela. Broń jego całą stanowił miecz krótki z rękojeścią w kształcie krzyża, w drugim zaś ręku trzymał chorągiewkę czerwoną łokciowéj długości. Byk zobaczywszy tego nowego przeciwnika, w galopie zbliżył się do niego. *Espada* odskoczył w bok, byk zrobił pół zwrotu za nim i w téj chwili mignął miecz, zwierz się zachwiał, potoczył kilka kroków, zaryczał i upadł.

Okrzyki niesłychane zatrzęsły cyrkiem. „*Bravo espada! bueno bueno!*“

On się skłonił poważnie i dumnie po-

wiodłszy spojrzeniem w około, odszedł wolnym krokiem.

Bramy się otworzyły, wjechały cztery muły pysznie ustrojone z dzwonkami, kutasami i piórami strusiemi na głowach. Zaprzęgnięto je do trupa byka a następnie do poległych koni i wywieziono to wszystko z cyrku; nowi posługacze przybyli i zasypali arenę świeżym piaskiem.

Trąby znów się odezwały, nowi pikadorowie postawali na swych miejscach, chulosy się rozbiegli po całéj arenie i wpuszczono nowego byka. Lecz ten jakoś biednie wyglądał, szmer nieukontentowania rozszedł się między publicznością. Napróżno go chulosy zaczepiali, stał nieruchomy, nareście wybiegł na środek, ale zobaczywszy pikadora z lancą wystawioną, któren się naprzeciw niego wysunął, biedne zwierze zaczęło się cofać, drżąc całe. Tu hałas wybuchł nie do opisania, świstania, przekleństwa, obelgi, rzucano na bojaźliwe zwierze, jak przed godziną na alguazila.

Okrzyki „*Otro torro! otro torro!*“ napełniały powietrze. Alkad rozkazał wpuścić banderillosów ze strzałami i fajerwerkami, lecz i to nie pomogło, zwierze wyraźnie nie miało wojowniczego ducha. Gniew publiczności rosł coraz gwałtowniéj, już się dawały słyszeć okrzyki: „*fuego al alcade*“ ognia alkadowi. (Alkad jest to urzędnik policyjny do którego należy wybór byków zdatnych do walki i urządzenie całego widowiska, na nim więc się krupi, w razie niepowodzenia, cały gniew widzów). Dano więc znak na matadora, aby zakończyć tę scenę, lecz i temu się jakoś nie powiodło, bo nie zadał od razu ciosu śmiertelnego, i dwa razy kaleczył byka. To też świstania, krzyki i obelgi jeszcze się wzmogły, biedny El Cucheres, uciekł jak zmyty.

Wpuszczono nareście trzeciego byka. A było to cudne zwierze, ogromne, z nozdrzami chrapiącemi, z oczami krwią nabiegłemi. W mgnieniu oka rzucił się na bliżéj stojącego pikadora i jedném pchnięciem powalił konia i jezdzca na ziemię i nie zabawiając się nad nim wpadł na drugiego, którego ten sam los spotkał.

Potém obejrzał się w koło i zaryczawszy straszliwie, podbiegł ku trzeciemu pikadorowi i z taką siłą podrzucił konia w górę, wbiwszy w niego obydwa rogi, że jednym rzutem ogromnéj głowy, konia i jezdzca wyrzucił za tablas.

Grzmiące oklaski odezwały się: „Bravo torro!“ Nie wyszło kwadransa, a siedm koni rozprutych leżało.

Chulosy z daleka tylko swemi kapami powiewali, nie śmiejąc zbliżyć się, inni siedzieli konno na barjerze, by za najmniejszém poruszeniem zwierzęcia, skryć się za nią. A wspaniałe stworzenie przebiegało zwolna arenę, podnosząc dumnie zwycięzką głowę, jakby wyzywając nowych nieprzyjaciół.

Wtedy dano hasło na matadora.

Wszelka wrzawa ucichła, każdy dech w sobie zapiera. Serca biją gwałtownie, rozchodzi się wieść że tą razą nie El Cucheres ale młody Peppo, ma mierzyć się z dzikiém zwierzęciem.

Wchodzi młody człowiek, cały w pysznym niebieskim aksamitnym stroju, szmer uwielbienia między kobietami się rozchodzi.

Ale bo téż dziwnie pięknym był El Peppo. Wysmukły, giętki, z cerą świeżą i gładką jeszcze jak u młodéj panienki, ogromne czarne oczy błyskały śmiało, krucze włosy, które wedle zwyczaju nosił długie w tył zaczesane i na karku w gruby węzeł zwinięte, lśniły się szafirową barwą. Skłonił się z wdziękiem przed lożą ayuntamienta, i z uśmiechem na ustach odwrócił się, czekając na swego przeciwnika. Ludność cała z uwielbieniem jego odwagi obsypywała go oklaskami, senority powiewały chustkami, manolas biły w swe drobne rączęta.

Zaledwie byk ujrzał nowego nieprzyjaciela rzucił się zajadle ku niemu. Okrzyk trwogi wyrwał się z piersi tysiąca, gdyż już straszny róg, dotykał się piersi śmiałego zuchwalca. Lecz nie, El Pepo odskoczył na bok i stanął zakrzyżowawszy ręce na piersiach.

Byk się rzucił, lecz spotkał śmiałe wejrzenie człowieka i stanął jak wryty; ujarzmiony, ubezwładniony, siłą tego wzroku. Stali tak chwil kilka nieruchomi, wśród głuchego milczenia które zaległo przed chwilą jeszcze tak wrzawliwe tłumy, które w najwyższém wzruszeniu oczekiwały końca téj walki, między ślepą siłą dzikiego zwierzęcia, a moralną wyższością człowieka. El

Peppo nie zdejmował wzroku swego przez długą chwilę, która nam się wiekiem być zdawała, aż zwierze drżeć widocznie zaczęło i cofać się zwolna, wtedy matador zmienił postawę i poruszył swą chorągiewką, byk jakby ze snu magnetycznego zbudzony, rzucił się na nią jak oszalały i w téj chwili błysnął miecz i zwierz padł jak piorunem rażony, miecz po rękojeść zanurzył mu się w karku.

Opisać krzyki, wycia, wołania, tupania, wybuchy szalonéj radości, tego roznamiętnionego ludu, jest niepodobieństwem. Panie rzucały na zwycięzkiego espadę wachlarze, kwiaty, nawet swe koronkowe mantylle, dziewczęta wyłaziły na ramiona swych *noviów*, by mu się lepiéj przypatrzyć. Jakiś majtek w czerwonéj koszuli spadającéj mu z opalonych ramion, już nie wiedząc jak okazać swą radość wyskoczył na ławkę i zaczął tańcować jakieś szalone *fandango*, wyrzucając ręce i nogi, po nad głowy otaczających go widzów.

Jeszcze cztery razy walka ta powtórzyć się miała, ale my mieliśmy już dość tego wzruszającego widowiska, wyszliśmy więc podczas gdy cyrk cały trząsł się jeszcze od zapamiętałych oklasków.

Godzina była szósta, mieliśmy zatém jeszcze parę godzin do obiadu, który tu o 9éj wieczór jadają, postanowiliśmy więc użyć tego czasu na zwiedzenie miasta, które teraz prawie puste było, wszyscy bowiem mieszkańcy zostali w cyrku.

St. Sébastien miasto obronne, leży u stóp góry Orgula; zbudowane w amfiteatr, ostatnie jego bastjony dochodzą do połowy góry i malowniczo odbijają się od ciemnego lasu, który jéj wierzchołek okrywa, podczas gdy pomniejsze otaczające ją pagórki są całe winnicami zarosłe. Ulice miasta wązkie, domy wysokie, jak w ogóle w miastach południowych, gdzie się tym sposobem chronią od zbyt palących promieni słonecznych. W domach mnóstwo okien, jedno drugiego dotyka, każde okno otoczone balkonikiem żelaznym i osłonione dużą oponą z żaglowego płótna, przybitą nad oknem, a spadającą po za balkon. Dziwny widok sprawiają cudzoziemcowi, te długie szeregi płacht białych, powiewających kilkoma rzędami wzdłuż ulic.

Na tych to balkonach, Hiszpanki dnie całe trawią chcąc widzieć wszystko, same nie będąc widziane. Pod niemi często całe godziny spędzają młodzi *caballeros*, którzy upatrzywszy piękną twarzyczkę, przychodzą „*pelar la pava*“ dziwny rodzaj starania się o łaski uwielbianéj, która czasem parę lat wytrzyma młodego senora, zanim mu na wyrażenie wzajemności rzuci kwiatek.

Z gmachów godnych widzenia, St. Sébastien posiada tylko piękną katedrę w stylu odrodzenia *Santa Maria Fabricata* drugi kościół *San Vincente* jest ciężki niby to gotyk. Plac ratuszowy cały marmurem wyłożony z wodotryskiem na środku, ładnie się przedstawia, okolony jest niz-kiemi półokrągłemi arkadami w stylu czysto maurytańskim, którego wiele jeszcze zabytków widać w tym kraju.

St. Sébastien jest miejscem kąpieli morskich, które dawniéj było bardzo przez madrycką *fashion* odwiedzane; dziś moda przeniosła ją do Biarritz, zawsze jednak do 800 rodzin używa tu kąpieli.

Sliczny widok przedstawia przechadzka do jednego z fortów stojącego na górze *Orgula*, widać z niéj ponure Pireneje w dali, niżéj wesołe pagórki z lasami oliwnemi i winnicami; daléj żyzne łany przez które wężykowato wije się rzeczka Urumca, wpadająca tu do morza. U stóp góry miasto całe z wałami i bastionami, a daléj morze wielkie, nieskończone.

Gdyśmy schodzili z téj przechadzki, już tłumy wracające z cyrku zaczęły napełniać ulice, weszliśmy więc do miejskiego ogrodu i tu dopiero przedstawił się nam zajmujący a urozmaicony widok.

Cała ludność niższéj klassy, tak wiejska jak miejska tu zebrana, oddaje się wesołym tańcom i zabawom. A dzieli się ona na bardzo odrębne dwa obozy.

Mieszkańcy miasta, prawdziwi hiszpanie, różnią się od wieśniaków nie tylko postawą ale i strojem. Mężczyzni ubrani w kurtkę z ciemno zielonego aksamitu z guzikami i pentelkami amarantowemi, takież spodnie krótkie obcisłe, pończochy i trzewiki. Kapeluszów nie noszą, chyba

w drodze, tylko na krótko podciętych kręcących się kruczych włosach jaskrawy fular związany z fantazją na boku; na to ubranie zarzucają rodzaj dery żółtéj w pasy czerwone, która im służy za płaszcz we dnie, w nocy za kołdrę, a w podróży za namiot.

Kobiéty chodzą w krótkich falbaniastych spódniczkach, z czarnym jedwabnym fartuszkiem; kibić ich obejmuje zgrabny staniczek czarny aksamitny z przodu sznurowany zwany *baskiną*, na obnażonych ramionach noszą białą chusteczkę, a na włosach misternie związany jasny fular. Wychodząc, zarzucają na głowę czarną mantylkę zwykle jedwabną.

Wszystko to małe, krępe, nizkie, ale bardzo zwinne z płcią oliwkową, u kobiét dziwnie przezroczystéj bladości, rysy ich wschodnie domyślać się każą śladów krwi maurytańskiéj. Oczy ogromne czarne głęboko osadzone, z szerokiemi schodzącemi się brwiami, jakimś dzikim ogniem błyszczą.

Wieśniacy zaś są to wszystko Baski, szeroko rozsiedleni po obydwóch stronach Pyreneów. Piękny to naród i silnie odznaczający się od swych sąsiadów ze strony Francji. Gdy przejdziemy granicę Bearnu, zdaje się nam żeśmy w inny świat wstąpili, tak się różnią ludzie których spotykamy, z głową szlachetnie podniesioną, z wejrzeniem szczerém, z ruchami śmiałemi, od chytréj postaci chłopa francuzkiego. A jak we wszystkich pierwiastkowych narodach, typ piękności jednolitéj całkowicie się w nich zachował.

Wzrostem słuszni mężczyzni i niewiasty, mają rysy nader regularne, na ich wrażliwych twarzach, każden odcień uczucia jasno się maluje, przez iskrę wejrzenia, przez drżące usta—oczy ich ciemne błyszczą życiem i wesołością.

Kobiéty są najpiękniejsze jakie mi się widzieć zdarzyło. Z kibicią dziwnie zgrabną i giętką, wzrostem do młodych topól podobne, płeć mają śnieżystéj białości z świeżym rumieńcem na licach, nosek prześlicznego kształtu, długie ciemne włosy, oczy czarne z wejrzeniem łzawém i pieszczotliwém.

Jako prawdziwe córy południa, lubią jaskrawe kolory, które jeszcze podnoszą białość ich cery, noszą ciemną krótką spódniczkę, na niéj drugą niebieską lub zieloną, zgrabnie z przodu jak tunika podniesioną i spiętą z tyłu. Stanik mają czarny, na głowie zaś kaptur z ponsowego sukna, takąż materją jedwabną obszyty, a spadający w kształcie peleryny aż poniżéj pasa. Baskowie odznaczają się elastycznością i zgrabnością ruchów. Gdy się ich widzi schodzących z niedostępnych górnych siedzib, w ich kamizelkach białych flanelowych, z jedwabnym czerwonym pasem z długiemi końcami, w krótkich ciemnych spodniach, z kurtką czerwoną rzuconą na ramię jak dołman węgierski, z beretem czerwonym lub niebieskim z lekka położonym na długich włosach, albo gdy się ich widzi oddających się z zapałem grze ulubionéj *la paso* (rodzaj jeu de paume) nacieszyć się nie można lekkością i zręcznością każdego ich ruchu.

Gdy przechodzą koło cudzoziemca, zastanawiają się chwilkę, kłaniają z powagą, lecz nie spuszczając dumnego wejrzenia. Pochodzenie téj szlachetnéj rasy jest niewiadome. Uczeni nie wiedząc jaki im nadać stopień w mądréj nomenklaturze, rozmaicie ich początek tłomaczą. Jedni utrzymują że są rasą indyjską, drudzy serjo zaręczają że pochodzą od Tobala piątego syna Jafeta, który się tu miał sprowadzić w 500 lat po potopie.

Najprawdopodobniejszém jest twierdzenie, że to są szczątki pierwotnych téj ziemi mieszkańców *Iberów*, którzy wypędzani z południowych stron przez zdobycze kartagińczyków, następnie rzymian, wissygotów, a nareszcie saracenów, pomału się w góry cofali, a zamknąwszy się w tych niedostępnych siedzibach, zmusili cesarza Augusta by z niemi traktował; oni to zniszczyli armję Karola wielkiego w dolinie Roncevaux i pomagali hiszpanom odzyskać na maurach Andaluzję. Zwolna jednak siła ich upadała, nareście mieszkańcy południowéj pochyłości Pireneów oddali się Hiszpanji, tak jak ich bracia z północnéj strony, złączyli się z Francją, zachowując jednak język, strój i obyczaje. Dziś naród Basków liczy jeszcze 840,000 dusz, ze strony Francji zajmuje 3 okręgi, granicę których stanowi rzeka Adour, w Hiszpanji, zamieszkują prawie

całą Nawarrę. Język ich zwany *escuara* jest zaiste prześlicznym językiem, łączy w sobie miękkość włoskiego, z męzką jędrnością hiszpańskiéj mowy, nie ma jednak najmniejszego podobieństwa do żadnego ze znanych dotąd języków, szczyci się też tém, że jest jedynie czysto pierwiastkowym.

Poeci ich utrzymują, że Ojciec Niebieski, stwarzając świat, tym się językiem odzywał, ale etymologowie niezadowolniając się tém twierdzeniem, daremnie sobie łamią głowy, by wynaleźć pochodzenie téj mowy. Obyczaje basków są bardzo proste, odznaczają się wielką moralnością i zabobonami, które do dziś dnia kwitną między niemi, pomimo iż są gorliwemi katolikami. Każda góra, każde jezioro ma w ich mniemaniu swego genjusza także mieszkającego, mnie saméj, przy zwiedzaniu jaskini *la Soule* opowiadał przewodnik, piękny starzec z długiemi białemi kędziorami, że w niéj mieszka Rassajoana król tych gór i lasów i że często wycia jego rozlegają się po dolinach.

Baskowie mają swoje prawa któremi się rządzą, w każdéj osadzie jest jeden starszy, wybierany większością głosów, a wyroki jego są święcie wypełniane.

Szczegóły powyższe, oraz wiele innych uwag co do saméj Hiszpanji, nierównie ciekawszych, lecz których szczupły zakres tego dzienniczka nie dozwala mi tu zamieścić, zawdzięczam księdzu d'Avila, professorowi filozofji i historji przy uniwersytecie Madrydzkim, którego w St. Sébastien poznałam, a następnie w Biarritz wiele chwil miłych w towarzystwie jego spędziłam.

Wróćmy tymczasem do ogrodu miejskiego i przypatrzmy się tańcom. Oto w jednéj stronie, przy dzwięku gitary i *tambour de basque* wiruje szalone bolero. Jedna osobliwie czarnooka hiszpaneczka, odznacza się śmiałemi pozami i giętkością figury, daléj nieco *gitana* (cyganka) otoczona ciekawemi przesuwa się lekko, przyklękając i dzwoniąc kastanietami, tańcuje *cachuchę*; w głębi zaś pod drzewami przy jednostajnym dzwięku liry i piszczałki, baskowie tańcują narodowy „matchico“ do którego tylko sami chłopcy należą, dziewczęta zaś trzymając się za ręce otaczają ich śpiewając przeciągłym głosem jakąś piosnkę zaczynającą się od słów: „*Las pupetas, con blanquetas*“ etc., a która mi się od przyjazdu w Pireneje ciągle o uszy obija.

Ale otóż i słońce zaszło i chilijczyk ciągle nam przypomina że się obiad przestoi, wracamy więc do Fonda del parador real. Chilijczyk pobiegł naprzód, by zobaczyć czy wszystkie jego rozkazy wypełnione zostały, my zwolna zdążamy za nim przez ulice napełnione wesołym ludem. Co chwila spotykamy parami idących młodzieńców, którzy chórem i zaiste bardzo dobranemi głosy spiewają jakieś narodowe piosenki. Aż miło się spójrzeć w około, taka wesołość, swoboda na wszystkich twarzach się maluje, tu nic nie krępuje ich żywości, ani prawo, ani etykieta. Śpiewają sobie, tańcują po ulicach, bo im tak swobodnie, tak dobrze żyć na świecie.

Wchodzimy nareście do hotelu, na progu spotyka nas chilijczyk i podając mi rękę wprowadza na górę. Zgłodnieli panowie nasi, wydali okrzyk radości, na widok suto zastawionego i oświeconego stołu, którego środek zajmowała wystawa z pysznych owoców, koło naszych talerzy stały piękne bukiety, a zapach kwiatu pomarańczowego, róż, heliotropów, mieszał się z wonią brzoskwiń, pasteków i pomarańcz. Podziękowaliśmy szczerze naszemu amfitrjonowi za jego starania i zasiedliśmy wesoło.

Po obiedzie, na którym figurowały *olla podrida*, rodzaj mieszaniny rozmaitych mięsiw i jarzyn daléj *puchero* wołowina z ryżem i pieprzem tureckim, potém różne wyśmienite ryby (ale niestety wszystkie na oliwie i z czosnkiem, który jest główną przyprawą hiszpańskiéj kuchni) umyśliliśmy pójść jeszcze do teatru, gdzie miały dać przedstawienie dwie znakomite tancerki madryckie, Rosetta i Pepita.

Trafiliśmy jeszcze na ostatni akt jakiegoś dramatu, któren był dla nas niemieckiém kazaniem, ale mieliśmy przynajmniéj sposobność podziwienia i uwielbienia dziwnéj jędrności i melodyjnego dzwięku hiszpańskiéj mowy, która osobliwie w wierszach i w wolnéj deklamacji, nawet nam profanom mile ucho pieściła. Tancerki były w istocie znakomite i zachwyceni byliśmy ich wdziękiem gdy nam się kolejno przed oczy przesu-

wały to dzikie *fandango*, to rozkoszne *bolero*, to namiętna *cachucha*.

Po północy wróciliśmy do domu bardzo umęczeni rozmaitemi wrażeniami dnia dzisiejszego. Ulice słabo oświecone, jeszcze się nam węższemi wydały. Dziwne wrażenie zrobili na nas *serrenos*, stróże nocni, którzy po dwóch chodzą po ulicach, mając klucze każdego domu, otwierają późno wracającym. Ubrani są w stalowe kołpaki, w kształcie hełmu, w długie czarne płaszcze z pasem skórzanym w którym tkwi latarnia, w ręku trzymają hallabardy. Oryginalny ich strój, te ciasne i ciemne ulice, te domy wysokie, z wązkiemi oknami, z małemi furtkami tajemniczo wyglądającemi, te postacie w czarny płaszcz obwinięte, snujące się cichaczem, lub stojące niekiedy pod balkonem, nieruchome jak posągi, wszystko to tak wyraźnie cechę średniowieczną nosiło, że doprawdy można się było czuć przeniesionym w czasy Filipa II i z tajemném drżeniem oglądaliśmy się w około, czy czasem nie ujrzymy gdzie zbirów strasznéj inkwizycji. Sprawiedliwą zaiste uwagę zrobił don Rodrigo: *L'Espagne*, rzekł, *c'est le XIX siecle greffé sur le XVII.* I prawda, podczas gdy cała Europa, przerabiała się w strasznych burzach ośmnastego wieku, jedna Hiszpanja w tyle pozostała, a dziś gdy się postęp i cywilizacja gwałtem do niéj wciskają, przyjmuje je chętnie, nie wyrzekając się jednak dawnych nałogów i obyczajów.

Nazajutrz koło 10téj byliśmy już wszyscy gotowi do drogi i wkrótce zabrał nas *El Comercio* i poniósł po falach oceanu, któren dziś był dużo burzliwszy i groźniejszy. W krótkim téż czasie prawie wszyscy towarzysze przeprawy podlegli morskiéj chorobie, a pomost wcale nieciekawy widok przedstawiał, nawet nasza biedna mołdawianka, leżała prawie bezprzytomna w dolnéj kajucie. Reszta naszego kółka, oprócz mego brata, któren ciężki haracz Neptunowi płacił, doskonale się trzymała. Wiatr był ogromny, gniewliwe bałwany nieraz przez statek przeskakiwały, obdarzając nas nie bardzo miłą słoną kąpielą; wyszukaliśmy sobie miejsce nieco skryte za dużym masztem i poczepiawszy się lin usiedliśmy w kółku i wkrótce rozmowa ożywiona jeszcze przytomnością ks. d'Avila, który acz szkaradnie po francuzku mówiący, żywością giestów i wyrazistością twarzy, objaśniał to, co nam się w mowie jego niezrozumiałém zdawało, tak się zajmującą stała, żem najmniejszéj uwagi nie zwracała na gwałtowne ruchy statku tańcującego po wzburzonych falach. — Dziwna rzecz jednak — rzekł pan K., jak rzeczywistość zawsze się inaczéj okaże, od tego co sobie wyobrażamy. Ja na przykład przedstawiałem sobie zawsze hiszpanów, jako lud nadzwyczaj ponury i milczący, widziałem ich w méj myśli, udrapowanych w płaszcz czarny, przesuwających się dumnie i poważnie, tymczasem zastałem lud szalonéj prawie żywości i wesołości; a te czarne i długie płaszcze, w które go moja fantazja ubierała, przemieniły się w płachty czerwono żółte.

— Nie wina to pańskiéj fantazji, rzekł ks. d'Avila, ale po większéj części opisów i romansów francuzkich, które niewiem dla czego przyjęły sobie za prawidło zawsze w ten sposób opisywać hiszpanów. Żeby ten obraz był zupełnie fałszywy, nie powiem, ale jest to typ tylko jednéj prowincji Staréj Kastylji, gdzie w istocie lud swoją ponurością różni się zupełnie od mieszkańców całego kraju. Dla czego jednak panowie Sue, Soulié, Dumas i inni, wolą obrabiać na wszystkie strony biednego kastylijczyka, zamiast, pełnego życia ruchu i fantazji mieszkańca Arragonji, Nawarry, Walencji, Audaluzji, tego nie wiem. Co do dumy, to jest ona w istocie cechą narodowego charakteru naszego. Ale jest to duma szlachetna która nie dozwoli prawemu synowi Hiszpanji, skalać się żadnym haniebnym postępkiem. Ona to sprawia, że gdy pochwalimy choćby najbiedniejszego żebraka za jaki czyn szlachetny, odpowie nam z godnością kładąc rękę na piersiach „*Sanos Espagnoles*“ (jestem hiszpanem) w tych słowach wszystko się mieści. Bardzo być może że właśnie z téj dumy wypływa ta niesłychana grzeczność i uprzejmość, która rzecz dziwna, jeszcze wykwintniejszą bywa u prostego wieśniaka niż u *caballera* salonowego. Wejdźmy np: do nawpół zrujnowanéj chaty chłopa andaluzyjskiego, przyjmie nas suchym chlebem z czosnkiem to prawda, bo sam nic więcéj

niema, ale z wykwintną grzecznością markiza z czasów Ludwika XIV, która już tylko dzisiaj we Francji jako tradycja się zachowuje. Uszanowanie zaś, uprzejmość, uwielbienie ludu naszego dla kobiet, jest jeszcze czystym zabytkiem z rycerskich czasów.

— Miałyśmy tego świeży dowód, rzekłam, opowiadając mu zdarzenie z wieśniakiem na ulicy w St. Sébastien.

— Nic to nadzwyczajnego odrzekł ks. d'Avila, uczucie to, jest wrodzone hiszpanom. Nie raz zdarzyło mi się widzieć uliczników bijących się tak zajadle, że żadna siła, nawet policyjna rozdzielić ich nie była w stanie, niechże przypadkiem kobiéta nadejdzie, młoda czy stara, bogato czy ubogo ubrana, w téj chwili odskoczą od siebie i staną w postaci pełnéj uszanowania, jakby przed samą królową. Parę tygodni temu szedłem ulicą w Madrycie z hrabiną A... wielkiéj piękności osobą. Przechodziliśmy właśnie koło koszar, gdzie odbywano przegląd świeżo ze wsi przybyłych rekrutów. Jeden z nich już umundurowany spostrzegł nas i uderzony pięknością méj towarzyszki, rzuca jéj swój płaszcz wojskowy pod nogi, mówiąc z ruchem pełnym wdzięku „Stąpaj piękna pani po finansach królewskich.“ Czyżby się zdobył na coś podobnego gburowaty sabotowy chłop francuzki?

— Ale też chłop francuzki, nie jest tak skorym do zabawki ze sztyletem! zawołał urażony vice-hrabia le Rebours.

— Zapewne, bo też niéma tak wysokiego poczucia własnéj godności. Hiszpan sam będąc z uprzedzającą grzecznością dla innych, wymaga tegoż samego dla siebie i biada temu, kto go urazi, bogdaj jeduém słówkiem; w jednéj chwili ostra *navaja* obmyje w krwi jego tę zniewagę, lecz nam to się rzadko zdarza, bo my z równą grzecznością przemawiamy do obdartego żebraka, jak do równego nam szlachcica.

— Ale przyznam się, że mnie to nawet raziło nieco przerwał ukrainiec; wczoraj np. weszliśmy z don Rodrigiem do pysznéj cukierni, całéj w aksamity i marmury przystrojonéj i tam przy jednym stoliku widziałem książąt de Medina Sidonia i d'Ossuna, hrabiego Arnau i innych magnatów z któremi nas don Rodrigo zaznajomił, pijących limonadę, obok kilku obdartych wieśniaków i żeglarzy, którzy sobie w najlepsze cigaretta palili i także limonadę zapijali i nawet czasami do rozmowy się mieszali, co wcale nie zdawało się gniewać tych panów, a ja przyznaję się, że miałem wielką ochotę wyrzucić ich za drzwi, cóż to czy oni tu szynków nie mają....

— Nie radziłbym ich zaczepiać, zawołał śmiejąc się don Rodrigo, musiałem nawet przestrzedz pana K... aby hamował nieco za wyraziste spojrzenia, które rzucał na tych biedaków. W naszych obyczajach nie było to nic dziwnego, publiczne miejsca stoją dla wszystkich otworem.

— A jednak Hiszpanja uchodzi za kraj najarystokratyczniejszy, dodałam.

— Hiszpanja jest krainą sprzeczności, rzekł ksiądz, z rządem do niedawnego czasu absolutnym, z zasadami arystokratycznemi, jesteśmy może ludem najdemokratyczniejszym w obyczajach, długo nie mieliśmy równości w obliczu prawa i dotąd prawdziwie jéj nie mamy, ale równość w pożyciu była zawsze. Grand hiszpański, który w obecności króla siedzi z nakrytą głową, pierwszy poda rękę wieśniakowi i pierwszy mu się ukłoni i z chęcią na jednéj ławie z nim siedzieć będzie, nie czując bynajmniéj, aby mu tym sposobem łaskę robił. Być może jednak że to wypływa z dumy narodowéj, nie ma w naszém mniemaniu tak nizkiego stopnia w społeczeństwie, któregoby wyraz „hiszpan“ nie uszlachetnił.

— Przyznać też trzeba, rzekł holender, że niższe klassy wasze godne są takiego z niemi postępowania. Podróżowałem wiele, wiele narodowości zwiedziłem, Hiszpanię znam równie dobrze jak Włochy, Francję lub Anglję i przyznaję, że to jest jedyny kraj, w którym pomimo upadku całego narodu, pojedyncze indywidua zachowały energję i wielkość. Hiszpan jest to władzca upadły, który nie zapomniał swéj dawnéj świetności. Nigdziem nie widział więcéj prawdziwéj godności w ruchach, w postawie i w twarzach, więcéj szlachetności złączonéj z wdziękiem w klassach niższych. Zaiste, zdawaćby się mogło, że tu godność osobista człowieka się wznosi w miarę gdy się stanowisko jego w świecie zniża. Tu liberja nawet pokrywa uczucia szlachetne i bezinteresowne, w muzeach niemieckich np. drzwi ci nie

otworzą póki się nie opłacisz służbie wygalowanéj, w Madrycie zwiedzając muzeum, chciałem odchodząc ofiarować coś przewodnikowi gdy tenże odpowiedział mi grzecznie, ale z giestem godnym starego rzymianina „Jesteś tu panie w gmachu narodowym.“

— Kto wie, rzecze don Rodrigo, czyśmy nie winni téj, tak odrębnéj cechy narodu naszego, zaskorupieniu w którém dotąd żyliśmy? może z kolejami żelaznemi wkrótce się to zatrze i będziemy tak jak inni gonić za zyskiem i komfortem, kto wie, może za lat kilkanaście już niebieska bluza wypędzi malownicze *sombrero* i wkrótce już poznać nie będzie można mieszkańca brzegów Guadalkwiwiru od zamieszkujących brzegi Sekwanny lub Elby.

W tym rodzaju rozmowy długo się jeszcze ciągnęły aż i zabłysła nam latarnia morska i w parę godzin po wylądowaniu w Bayonnie, przybyliśmy szczęśliwie do Biarritz, gdzie długo jeszcze wycieczka do Hiszpanji, była tłem naszych rozmów, a różnorodne wrażenia, któreśmy w niéj doznawali dłużéj jeszcze zapewne będą tkwić w naszym umyśle.

Zofia z S. H.

KORESPONDENCJA.

Wiedeń, 19 Czerwca 1862 r.

Wypadałoby donieść wam o wystawie powszechnéj, która przemysł całego świata obchodzi i ze wszystkich części ziemi sprowadza do Londynu przybyszów, albo popisujących się z wyrobami swéj ojczyzny, lub też bijących czołem przed pracą ręki ludzkiéj, pracą udoskonaloną do najwyższego stopnia. Myślałam że własnemi oczyma będę oglądać te cuda, inaczéj się stało; sądźmy więc wedle cudzego opowiadania i wedle głosu dzienników. Francuzkie pisma szydzą z wystawy lub tak mało wzmiankują o niéj, że to prawie na milczenie zakrawa, a jeżeli co pochwalą, to wyroby swoje. Chwalą się więc francuzi, że w wyrobach porcelany prześcigli sławną angielską fabrykę Stock-on-Trent. Być może, Sèvres słynie porcelanowemi arcydzieły, a Bernard Palissy, ten garncarz-artysta, który nie wahał się spalić drzwi własnego mieszkania podczas zimy, żeby podsycić ogień w hutniczym piecu i obrączkę swą ślubną wrzucił w złocone swe na próbę fajanse, Bernard Palissy postawił wysoko sztukę garncarską we Francji.

Jednakże mimo wysileń hut francuzkich, pomimo panów Giles, Rousseau, La Hoche, Macé z Paryża; panów Pouyat, Henri i t. d. z Limoges; panów Pepin, Vieillard z Bordeaux, sami francuzi wyznają, że zostaliby pokonani współzawodnictwem anglików, gdyby nie porcelana z Sèvres.

Co to za mnóstwo przecudnych, pełnych wytworu i wykończenia czar, tafli szklannych, flakonów i t. d. z angielskich fabryk Milton, Copeland, Duke Pellut.

I w odlewach brązowych francuzcy dziennikarze, rodakom swym przyznają pierwszeństwo. Pan Oudry za pomocą galwanoplastyki, nowe oddał bronzowniczéj sztuce przysługi, tém większe, iż galwanoplastyka oszczędza 40 na 100 wydatków, przy fabrykacji bronzowych wyrobów.

Rocznica 256 urodzin Corneilla 7go Czerwca, obchodzoną była w teatrze francuzkim przedstawieniem Horacjuszów, odegranych wybornie, tudzież małą sztuczką (umyślnie na tę uroczystość napisaną przez Edwarda Tournier): *Corneille à la butte Saint-Roch.* Chauchois sukiennego sklepu właściciel, mieszka w *la Butte St. Roch.* W téj saméj dzielnicy mieszkali Corneille, Lulli, a potém Voltaire i Piron. Marja, córka pana Chauchois, poznaje się z młodym człowiekiem panem Piotrem; z poznania się wynika zażyłość, z zażyłości — miłość. Pan Piotr prosi o rękę panny Chauchois, ale papa uważa, iż człowiek tak ubogo ubrany, nie

może być jego zięciem. Tymczasem matka Marji dowiaduje się, że grają Cyda w teatrze francuzkim, idzie na to widowisko z mężem i córką; widzi zapał publiczności, oklaski i hołdy, jakie stary Piotr Corneille, odbiera. Wszystkie stany bez różnicy biją mu czołem. Poznaje wtedy poczciwy pan Chauchois, że talent ma swe oddzielne prawa; że — choć pięknie być najbogatszym kupcem w swojéj dzielnicy, trudniéj wszelako i piękniéj jeszcze mieć tę bożą iskrę poezji prawdziwéj, która tłumy zachwyca i uzacnia. W skutek tych uwag, syn Piotra Corneilla, bierze za dożywotnią towarzyszkę, córkę sukiennika; sztuka ukończona wybornie i podług starych zasad, bo małżeństwem rozkochanéj pary. Jak grali w teatrze francuzkim, rozpisywać się nie będę. Tam, zawsze grają znakomicie. Ponieważ wpadliśmy na wzmiankę o teatrach, muszę wam przytoczyć legendę o zielonéj żabce, *„żabce drzewnéj,”* którą w sposób dosyć komiczny wypowiedział — Figaro [1]). Otóż w Paryżu mimo ciągłéj zmiany powietrza, a może dla téj właśnie zmiany tak bywało gorąco, szczególnie pod dachem, iż publiczność przestała uczęszczać na widowiska, mówiąc: *teatr jest szkołą obyczajów, ale nie łaźnią.* A z doświadczenia potwierdzić to mogę, że francuzkie teatra doskonale zastąpić łaźnię zdołają, czy zaś moralności nauczą? o tém zapewnić nie śmiem. Więc, oprócz wielkiéj opery, gdzie przedstawiano Żydówkę, publiczność nie bywała nigdzie, chyba w Chalet-des-Iles, teatrzyku pod gołém niebem, tudzież w innych miejscach gdzie się można było zabawić, w cieniu drzew i na otwartém powietrzu. Cóż wtedy czyni pan Duponchel, jeden z dyrektorów Wodewillu? Kupuje sobie słój szklanny, a nalawszy weń do połowy rzecznéj wody, spuszcza małą drabinkę do słoja i śliczną zieloną żabkę drzewną, ze złotemi oczkami, wprowadza do tego szklannego pałacu. Pan Duponchel, ma na imię Paweł, żabkę więc przezywa Wirginją i zasiada przy słoju obliczając wszystkie ruchy swojéj ondyny.

Co dzień ciekawe bulletyny, odbierają dyrektorowie teatrów paryzkich, w tych wyrazach: *Wirginja siedzi na drabince,* znaczyło to: Wirginja pogodę przeczuwa, i wtedy afisz ogłaszał same niewinne sztuki, które wstręt mają do licznych widzów; sztuki te są: *Le Pavé*, *Malvina*, *Le vrai courage* i t. d.— Aż tu 8go Czerwca w dzień Śgo Medarda i Zielonych Świątek, Wirginja zeszła o dwa szczeble ze swéj drabinki, deszczyk pokropił ulice Paryża, nazajutrz zaś, Wirginja pływała rozkosznie po swém mieszkaniu; deszcz lał potokami. Co spostrzegłszy policja, pozwoliła teatrom paryzkim, nie dawać tego wieczora widowisk. „Nic nieszkodzi, że trochę stracimy — odpowiadają dyrektorowie z miną świętoszka, — odzyskamy to podczas zimowych przedstawień, a dzisiejszego wieczora będzie widowisko. — I, co najświetniejsze, najponętniejsze teatralne arcydzieła, zajaśniały ogłoszone na afiszach. Méry, którego utwory najwięcéj bywają przedstawiane, zacierał ręce z radości, wieczorem zaś kassa teatrów paryzkich, przepełniona była frankami; Wirginja ocaliła sztukę.

Około 15 Czerwca, Paryżanie co zamożniejsi, opuszczają stolicę udając się gdzie kto może: na wieś, do kąpieli morskich, do wód i t. p. Idąc tym zwyczajem i my porzuciliśmy piękne ogrody w Auteuil, spiesząc już nie do wód, ale do stron ojczystych, z tą wiarą, że powietrze rodzinnych pól, najlepiéj zdrowiu pomaga.

Ruszamy przeto z zabłoconego Paryża i wpadamy w zalane od deszczu Niemcy. Nim przebędziemy Ren, stajemy w Strasburgu. Ta miła mi stolica Alzacji, z niemieckim ludem a francuzkiém mieszczaństwem, mieści w sobie czar, któryby mię długo potrafił więzić w jéj murach. Tym czarem dla mnie, jest widok katedry. Większa część zapewne moich czytelników zna dobrze z widzenia lub z opisu, ów cudny sztuki budowniczéj zabytek, ale choćby nikt o nim nie wiedział, czyjeż pióro ośmieli się opisać tę wspaniałą gotycką świątynię. Po raz trzeci ją widzę i po raz trzeci uspokoić się z zachwytu nie mogę. Wieża strasburgskiego kościoła ma być najwyższą z wież w Europie, 140 metrów trzyma wysokości, lubo mnieby się zdawało, że to najmniej ważna ozdoba świątyni, wysokość

*) Dziennik sprzedawany w czasie przerw, podczas przedstawień teatralnych.

mniejsza czy większa wieży. Ale te półkręgi ze świętych, zdobiące zewnętrzne ściany katedry strasburgskiéj, te cudne okna szklane ułożone z tysiąca barw rozmaitych, ten potrójny rzęd filarów, rozgałęziających się u sklepień owéj groty Bogu poświęconéj, ta wspaniałość ponura mimo tylu okien, ta prostota w budowie, owe sławne roboty Erwina von Steinbach i córki jego Sabiny biegłéj w budownictwie ten zégar astronomiczny, wskazujący obieg ziemi i ruchy planet na dziesięć aż wieków, obliczone przez Piotra Schwilge astronoma-mechanika, który z portretu już tylko, patrzy na swoje dzieło, bo sześć lat temu jak się przeniósł do wieczności; to połączenie arcydzieł z XI, XII i XIIIgo wieku z przemądrem XIX stulecia dziełem, owym astronomicznym Schwilgego zegarem, dla mnie urok ma nadzwyczajny. Trzeba oddać Strasburgczykom sprawiedliwość, że znają się na swym skarbie. Obecnie uchwaliła rada municypalna Strasburga, 500,000 franków, blisko miljon złotych polskich, na wybicie okna w szczycie katedry przed wielkim ołtarzem. Czy z tém kościół będzie piękniejszy? wątpię, uważam tylko że stanie się widniejszym; wreście musi być tak lepiéj, kiedy to mądre głowy radców miasta i budowniczych uchwaliły.

Sławny Maurycy Saski, syn Augusta II, bohatér Francji z czasów XV Ludwika, spoczywa w Strasburgu, w kościele Śgo Michała. Rzeźbiarz Pigall, zbudował pomnik dla dzielnego wojownika na rozkaz Ludwika XVgo. Na tle białéj marmurowéj piramidy, rysuje się postać Maurycego Saskiego, z jednéj strony Francja, wyobrażona przez posąg kobiety, zatrzymuje swego obrońcę; z drugiéj zaś strony śmierć przyzywa go ku sobie jedną ręką, drugą zaś podnosi wieko szaréj marmurowéj trumny. Lew i anioł z białego marmuru dopełniają téj gruppy, na któréj widok, nasunęła mi się uwaga, czy Kanowa przy swym pomniku dla arcyksiężnéj Marji-Krystyny, w Wiedniu u Augustjanów postawionym, nie okradł trochę Pigalla? Piramida tam i tu; lew i anioł, przy obu pomnikach. Pigall nawet (w mojém lichém zdaniu), prostszy jest, poetyczniejszy i wznioślejszy co do pomysłu. Stanęliśmy w Wiedniu i mimo deszczów obiegamy stolicę Austrji. Nie będę wam opisywać, Burgu, Prateru, pałacu w Schönbrunn i t. d., znacie to wszyscy z opisu, ale o czém nie wiecie, że w Wiedniu jest *Jeu-de-Paume*. Słyszałam a raczéj wiem z książek tylko o tém. W dawniejszych czasach była to rozrywka możnych i książąt. Ubogi zapocił się przy pracy, bogaty w chwilach spoczynku, używał gimnastycznych ćwiczeń grając w piłkę. Rewolucja francuzka, pierwsze swoje poloty zaczynała z sali na tę grę przeznaczonéj; nic też dziwnego że gra ustała i *Jeu-de-Paume* zniesiono. Teraz jednak są dwie sale do téj zabawy w Paryżu, lecz ich nie widziałam. W Wiedniu jest to sala w trzeciéj części płotem siatkowym przedzielona, długa i siatkami po jednéj stronie zakryta; siatki są ze sznurków dosyć grubych. Mnóstwo piłek elastycznych wielkości jabłka leży do wyboru grających, Dwóch zapaśników, ubranych w odzież zupełnie do gry zastosowaną, wchodzi do sali, biorą do ręki taką, jak do gry w wolanta, rakietę, jeden stawa z jednego końca sali płotkiem przegrodzonéj, drugi z drugiego; podrzucają i podchwytują piłkę wedle pewnych przepisów, odbijając swą rakietą. Po pięciu minutach gry, można już zmęczyć się porządnie. Dawniéj bywało to namiętnością młodzieży dobrego tonu. Grywali godzinami całemi. Uważam iż to lepsze było i dla zdrowia i dla obyczajów, niż muzyka po ogródkach lub kawiarniach. Kiedym się tak o płochych rozpisała rzeczach, to wam powiem, że parę dni temu, widziałam śliczne polskie dziecko bogatych rodziców, dziecię urodzone w Paryżu, mające lat cztery i dotąd nie umiejące po francuzku. Zwróciło to moją uwagę jakby cóś nadzwyczajnego, tém bardziéj gdy wspomniałam sobie, że dzieci obywatelskie w Polsce, wprzód zaczynają obcą odzywać się mową, a potém z biedą i wstrętem, ojczystego uczą się języka, choć rzadko już kiedy wyuczyć się go zdołają — *poprawnie*. Dzisiejsze święto Bożego Ciała, Wiedeńczycy obchodzą z nadzwyczajną pobożnością. Katolicyzm jest drugą ojczyzną; przekonywam się zawsze o tém, ilekroć z Francji lub krajów protestanckich, przybywam do katolickiego kraju. We Fran-

cji lubo katolickiéj, obrzędy religijne są bardzo od naszych odmienne. Tu, niema już trojakiéj lub czworakiéj kwesty podczas krótkiéj Mszy cichéj; nikt mi nie sprawi muzyki, brząkania pieniędzmi przez cały czas nabożeństwa, lub suwania bezustannie krzesłami, w których pomieścić się trudno. Każdy siedzi spokojnie w ławce i nic modlitwie zgromadzonego ludu nie przeszkadza. W dzisiejszéj processji miał uczestniczyć cesarz, ale niepogoda przeszkodziła processjom przez ulice Wiednia, odbyły się więc tylko po kościołach. Nawa kościoła Śgo Szczepana, pokryta karmazynowym adamaszkiem w złote pasy, nic na piękności nie zyskuje. Wieża zawalona tego kościoła jest teraz w naprawie, podobno ją zniżyć mają, a szkoda, bo Śty Szczepan przodował okolicom Wiednia, jak najwyższy maszt dużemu okrętowi; zewsząd widać było jego wieżę.

Julja Janiszewska.

WSPOMNIENIA HISTORYCZNE

Z MIESIĄCA LIPCA.

— 27 Lipca 1292 roku, umarła w Sączu święta królowa nasza Kunegunda, żona Bolesława Wstydliwego, a córka Beli węgierskiego króla.

— 11 Lipca 1228 roku, Konrad książę Mazowiecki nadał ziemię pruską, sprowadzonym przez się ku obronie od tamecznego pogaństwa krzyżakom.

— 15 Lipca 1410 roku, Władysław Jagiełło odniósł zwycięztwo pod Grünwaldem, szczegóły téj bitwy opisane po mistrzowsku przez Andrzeja Moraczewskiego, w jego historji polskiego narodu.

— 10 Lipca, 1515 roku, Zygmunt Iszy król Polski odprawiał wjazd wspaniały do Wiednia, wraz z bratem swym Władysławem, węgierskim i czeskim królem, oraz dziećmi tegoż, księciem Ludwikiem i księżniczką Anną. Bielski tak wspomina o téj okoliczności: „Za dozwoleniem rad koronnych wybrał się był król Zygmunt w drogę ku cesarzowi Maksymiljanowi, z którym miał się zjechać u brata w Presburgu; byli tacy którzy króla od zjazdu tego odwodzili, cesarzowi niedufając i ofiarowane przez niego spowinowacenie z domem królewskim za podejrzane mając, ale król Zygmunt wielkiém sercem nie bacząc na to, z dość niewielką komitiwą, którą miał przy sobie z ludzi zacnych i przedniejszych familji, w drogę przed się jechał.“ Lubo król wyjeżdzał z Krakowa 5go Marca, jednakże doktor jego i astrolog zarazem, Maciéj z Miechowa, przepowiedział że nie zjedzie się z cesarzem aż w Lipcu, jakoż spełniła się ta przepowiednia w zupełności. Przybywszy najpierw do Presburga, skutkiem różnych nieprzewidzianych wypadków, Zygmunt Iszy zatrzymać się tam musiał do końca Maja, a gdy cesarz w żaden sposób nie mógł się wydalić z Wiednia, resztę czasu do dnia oznaczonego przez astrologa na widzenie się z nim, zabrała sama dalsza podróż króla, długa i mozolna w owych wiekach. Podczas pobytu Zygmunta w Presburgu, posłowie z Wiednia uchwalili małżeństwo dzieci króla Władysława z wnukami cesarza, księcia Ludwika z Marją Burgundzką, księżniczki Anny zaś z arcyksięciem Ferdynandem, królewic zatem z królewną musieli jechać wraz z ojcem i stryjem. Gdy wjeżdzali do Wiednia w świetnym orszaku polaków, węgrów i czechów, Bielski powiada że: Cesarz do nich cudną łacińską rzecz uczynił, któréj ta summa była: najprzód się omawiał z tego że nieprzyjechał sam do Presburga, potém te rzeczy przekładał które rozumiał być należące ku przyszłemu spowinowaceniu, na końcu króla ku podniesieniu wojny przeciw Turkom napominał, przypominając żałość swą z tych wypadków, które mu dotąd do téj wojny przeszkodziły.“ Nazajutrz w kościele Śgo Szczepana, odbyły się zaślubiny obu

młodych par, poczem nastąpiły uczty weselne, przeplatane łowami oraz igrzyskami rycerskiemi, w których odznaczali się szczególniéj polacy, a mianowicie Jan Tarło herbu Topór.

— 7 Lipca 1572 roku, umarł w Knyszynie Zygmunt-August, ostatni potomek po mieczu drogiego nam Jagiellońskiego szczepu.

Zakończając wspomnienia miesiąca Lipca a zarazem pobieżne wspomnienia historyczne z całego roku, które rozpoczęliśmy w miesiącu Sierpniu, upraszamy czytelników naszych, aby z ołówkiem w ręku, poprawili według niżéj wymienionego porządku omyłki druku, jakie się wcisnęły wcały szereg całorocznych wspomnień. W miesiącu Sierpniu roku zeszłego na stronnicy 145, kolumna pierwsza wiersz 33, zamiast roku 1572 czytać trzeba 1573; na kolumnie drugiéj, wiersz 38, zamiast roku 1531, roku 1558. W miesiącu Wrześniu stronnica 184, kolumna druga, wiersz 26, zamiast r. 1334, rok 1331, daléj wiersz 34, zamiast rok 1568, rok 1579. W miesiącu Październiku stronnica 213, pierwsza kolumna wiersz 27, zamiast rok 1672, rok 1609. W Listopadzie stronnica 248 kolumna pierwsza wiersz 9, zamiast roku 1583, rok 1588; stronnica 249 wiersz 10, kolumna pierwsza, zamiast roku 1668, rok 1648, stronnica zaś 250, kolumna pierwsza, wiersz 6, zamiast roku 1797, rok 1497. W miesiącu Styczniu stronnica 298, kolumna pierwsza, wiersz pierwszy, zamiast roku 1466, rok 1465, stronnica 299, kolumna pierwsza, wiersz 17, zamiast *Jagielle* czytaj *Jagiellończykowi*. W miesiącu Lutym stronnica 349 wiersz 42, zamiast r. 1472, czytaj rok 1473. W miesiącu Marcu stronnica 381, wiersz 4, zamiast roku 1659, 1656. W miesiącu Czerwcu stronnica 93, szpalta pierwsza, wiersz 41, zamiast *Gustaw*, czytaj *Czesław*.

A. z Ch. Borkowska.

O UBIORACH.

Dnie które przywykliśmy uważać za najgorętsze, były tak chłodne w tym roku, że wyprowadziły z ukrycia nawet jesienne paletoty. Ostatecznie powiedzieć można, że do naszego klimatu nie potrzeba wielkich zapasów letniéj odzieży, bo cieplejsza w każdéj porze roku się przyda. Nie mniéj przecie piękne są suknie ze tkanin lekkich powiewnych, które przemysł na lato przygotowuje. Lubo bawełna skutkiem wojny amerykańskiéj podrożała, mamy zawsze dużo bawełnianych wyrobów pod rozlicznemi nazwami znanych w handlu. Muśliny swą przezroczystością i zdatnością do prania, pierwszeństwo w stroju trzymają. Widzieliśmy prześliczne w duże desenie, najwięcéj w kwiaty, tak wykończone, że się wydają niby czarnym tuszem na białém tle rysowane, po cenie 5 złp. za łokieć. Ze zwyczajnemi deseniami i grubszego gatunku dostanie po 4 i 3 złp. Mohery czyli gęste i trwałe bareże bardzo są noszone w tym roku. Robią z nich nawet spódniczki z paletotami, dodając do tego bluzkę białą muślinową. Osoby zwłaszcza młode mogą paletocik zdjąć w pokoju, a bluzka biała ze spódnicą zwykle ozdobnie wyszywaną, jest dla nich bardzo ładném ubraniem. Formę paletota dla braku miejsca o ośm cali skróconą, dajemy na naszéj tablicy, nadmieniając aby rękawy krajane były proste od góry, a od łokcia do dłoni skośne, tudzież żeby szew ich dolny był znacznie ku przodowi zwrócony. Paletoty wyszywają pospolicie tak samo jak suknię, w desenie przeróżne ułożone z taśmy szerszéj i wązkiéj, obszywają je plisami jedwabnemi lub nawet kamlotem czarnym, gdy są z mniéj wykwintnego materjału. Nasze krajowe fabryki przygotowały na codzienne suknie bardzo dobrze wyglądające czarne i popielate kamloty w białą kratkę, półtora łokcia szerokie, na półtrzecia złotego łokieć, a z zagranicy przychodzą do nas suknie z gotowemi wyszyciami na każdym brycie, które po zszyciu w jeden szlak się łączą. Cena takich sukien z moheru rubli 20 sztuka. Widziałyśmy u p. Włodkowskiego sztuczkę na suknię pół jedwabnéj popeliny popielatéj, kosztowną wprawdzie bo 220 złp. wynoszącą, ale odznaczającą się oryginalnością pomysłu; na każdym brycie przyszyta jest płasko kokarda ze wstążki czarnéj na cal szerokiéj z brzeżkiem białym po obu stronach.

Od każdéj kokardy cztery końce niby przez wiatr rozwiane, rozchodzą się w udatnych zagięciach na dwie strony tak, że się spotykają z końcami brytów następnych, co wszystko tworzy szlak gustowny i niepospolity pomysłem.

Dajemy na naszéj tablicy parę wzorów garnirowania sukien, które w najrozmaitsze układają rysunki Nr. 28 oznaczony rysunek, ma uczynić zrozumialszym opis garnirowania, które zauważałyśmy na jednéj z sukien przygotowanych w magazynie pani Włodkowskiéj. Na przezroczystym jedwabnym popielatym bareżu przyszywane były w ten sposób czarne jedwabne na cal szerokie wstążeczki, u każdego końca złożone we dwoje i puszczone wolno. W środku każdéj kratki umieszczony był guzik czyli rodzaj płaskiego kutasika ze szneli, wielkości złotówki. Garnirowanie to bardzo pięknie stroi suknię, lecz wymaga biegłéj robotnicy, żeby linie były proste i symetrycznie rozstawione. Skoro się wyszywa szlak u sukni należy go na ćwierć łokcia od brzegu oddalić. Deseń dany na tablicy pod Nr. 21 może być wyszyty na przednim brycie sukni po dwóch stronach jego środka, w którym dać należy od góry do dołu guziki. Deseń ten zaś lepiéj wygląda gdy cały wązką tasiemeczką wyszyty niż przeplatany szeroką. Oglądałyśmy prześliczną taką suknię z białéj piki, wyszywaną czarno [1]) a kosztującą 300 złp. przez wzgląd na pracowitość roboty. Była to spódnica z paskiem mającym z przodu ząb na dół i do góry także wyszyty, do tego krótka zuawka otwierająca się nieco na piersiach, aby ten ząb dać widzieć, wyszyta w około i na rękawach. Takie suknie jednak nie pokazują się u nas na ulicy.

Dajemy na tablicy tego poszytu nowego pomysłu formę zuawki, nazywanéj to kaftanikiem wschodnim, to hiszpańskim, to senoritą i t. p. Krając ją uważać należy, żeby dobrze z przodu do figury przystawała i według tego zaszyć rozcięcie. Do kaftanika który jest z przodu bardzo krótki, kładzie się kamizelka z tego samego materjału na którą załączamy formę, lub też bluzka biała. Suknie muślinowe robią się najczęściéj wycięte do gorsu z przymarszczonym lub gładkim stanikiem, do tego taka sama pelerynka lub też biała haftowana, lub z tiulu w deseń naszywana aksamitkami czarnemi i koronką. Do większego stroju szarfy z białéj wstążki przykryte czarną giupiurą w sposób jaki uważać było można na rycinie mód poszytu Czerwcowego pięknie wyglądają.

Kapelusze zwane marynarskiemi, mające główkę wysoką nakształt kapeluszy męzkich, dosyć się u nas upowszechniły, lubo paryżanki noszą je tylko na wsi i u wód. Ponieważ zaś zdobne są piórami, nie mogą być bardzo tanie, przytém znajdujemy że nie do każdéj twarzy dobrze przypadają. Jako okrycia letnie, pokazały się w magazynach naszych rozliczne chustki bareżowe i grenadinowe. Piękna biała z czarnym haftem kosztuje 180 złp. Przezroczysta czarna z białym 150 złp. Bareżowych czarnych z białym sutaszem czyli sznureczkiem po 60 złp. dostać można, a popielatych w kraty po 50 i 45 złotych.

Włosami ubierają zawsze wierzch czoła, policzki zostawiając odkryte. Do takiego czesania stosują też i stroiki na głowę. Widziałyśmy jeden taki wyobrażający dużego motyla, zrobionego z perełek czarnych błyszczących. Motyl ów siedział wśród liści od których na tył szła barbka; lecz wiele na tém zależy żeby go na głowie umieć pomieścić, trzeba bowiem mieć koniecznie dla uwydatnienia jego piękności, nad czołem loczki, w pośród których mógłby się osiedlić wygodnie i połyskiem swoim oczy wabić. Cena tego ubrania nie dochodziła 30 złotych. Na ulicach warszawskich widać pełno kołnierzyków z olbrzymiemi białemi muślinowemi kokardami, przepiętemi broszką z lawy, lecz prawdziwe elegantki twierdzą, że te wielkie kokardy, dobre tylko w czasie bólu gardła, lecz że chąc być *dobrze* ubraną, należy do stojącego webowego kołnierzyka wziąć krawatkę muślinową wązką, ukośnie krajaną, długą na 7 ćwierci łokcia, obszytą w końcach koronką prawdziwą i tę związać pod brodą na małą kokardę. Te panie wykwintne utrzymują także, że wypada koniecznie mieć rękawiczki spięte na dwa guziki.

P. Reichel świeżo sprowadził rodzaj kołnierzyków czarnych, jedwabnych, mających końce długie rozszerzone jak u krawatki, a obszytych blondynką białą i czarną w ten sposób, że czarna nieco węższa znajduje się na wierzchu białéj i razem z nią sfałdowana w kontrafałdy. Kołnierzyk taki kosztuje złotych 15. Są tam także krawatki obszywane w taki sam sposób po jednéj stronie, z końcami naszytemi perełkami z lawy, do których spięcia przygotowany jest pewien rodzaj kokard osadzonych na szpileczce, a utworzonych z gęsto nafałdowanéj blondynki białéj i czarnéj. Te broszki lekkie i przejrzyste bardzo ładnie i oryginalnie wyglądają, a mogą być użyte zarówno do białych kołnierzyków. Przybyło także do tego magazynu wiele przedmiotów do ozdoby wyrobionych z rogu, który ma tę wyższość nad lawą, że nie pęka za uderzeniem lub upadnięciem. Są więc kolczyki na różne ceny, są bransoletki bardzo zdobiące rękę po 15, 18, 20 złp., są łańcuszki do zegarków w tychże samych prawie cenach.

W bieliznie, kaftanikach, czepeczkach i ubraniach rannych, zawsze zakładki grają główną rolę przeplatając się z haftem, przytem z wąziutkich pasków płótna lub żaknotu krajanych

[1]) Chcąc wyszywać na materji mogącéj się prać, należy poprzednio sparzyć tasiemeczki.

prosto, wyszywają (przytwierdzając po dwóch stronach stębenkiem) arebeski i liście, które wyglądając niby płaskorzeźba, na cienkiéj bieliznie, tworzą ozdobę pełną dobrego smaku, ale patrząc na te wytworne przybory przyszła nam myśl, co to z nich nasze praczki porobią, u których sztuka prasowania nie bardzo jest rozwinięta. Wiemy zaś że tak zwane panny służące, u których umiejętność zwykle mniejsza od rozumienia o sobie, mają prasowanie bielizny za ubliżenie swéj godności. Tu się nastręcza uwaga czy tego nie są przyczyną same panie nie dając im z siebie przykładu pracowitości i zezwalając ne te śmieszne zawroty głowy, które zwą tonami.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Nr. 1. Przód paltota. Dla osoby średniego wzrostu należy dodać 8 lub 9 cali na długość. Klapka od kieszeni oznaczona w miejscu gdzie być powinna.
Nr. 2. Połowa pleców.
Nr. 3. Połowa rękawa. Rękaw ten składa się z dwóch podobnych do siebie części różniących się tylko wycięciem pachy, która oznaczona podobnie jak klapka.
Nr. 4. Całość paltota.
Nr. 5. Figura wskazująca ubranie sukni jedwabnemi plisami i falbankami.
Nr. 6. Suknia z ubraniem jedwabném lub aksamitném i guzikami, rękawy u niéj z rozcięciem (crevé).
Nr. 7. Burnusik dla dziecka od ośmiu do dziesięciu lat wieku. Najlepiéj krajać go z materjału bardzo szerokiego, wziąść go w poprzek i zmierzywszy do wzrostu dziecka długość potrzebną z tyłu, wykroić w pośrodku otwór na szyjkę, a następnie rozciąć przód po nitce poprzecznéj. Potem według długości tylnéj zaokrąglić i obszyć podwójną falbanką (ruche) z materji jedwabnéj wycinanéj w ząbki lub naszytéj u brzegu czarnym sznureczkiem.
Nr. 8. Czepeczek w kształcie siatki. Robi się duże denko z białego tiulu naszytego w kratę wązkiemi czarnemi aksamitkami, a przód zdobi się wstążką lub fałdowaną materją i kutasami.
Nr. 9—10. Wyszycia greckie do sukien taśmą jedwabną lub bawełnianą i sznureczkiem.
Nr. 11—12. Szlaczki płasko dziergane.
Nr. 13. Wązki szlaczek do wyszycia tasiemeczką.
Nr. 14. Podstawa do poduszeczki (opis poniżéj).
Nr. 15. Jedna z czterech części składających całość poduszeczki.
Nr. 16. Figura poduszeczki.
Nr. 17. Podeszewka do bucika dziecinnego z sukna lub tybetu.
Nr. 18. Boczki z tyłem bucika do wyszycia tasiemeczką.
Nr. 19. Przód bucika.
Nr. 20. Deseń do wyszycia rękawa.
Nr. 21. Deseń do wyszycia tasiemeczką przodu szlafroka, taki sam może być do koła spódnicy.
Nr. 22. Przód kaftaniczka wschodniego (opis w artykule o ubiorach).
Nr. 23. Boczek.
Nr. 24. Plecy.
Nr. 25. Rękaw.
Nr. 26. Figura całego kaftanika.
Nr. 27. Przód kamizelki do kaftanika.
Nr. 28. Rysunek wyszycia sukni opisany w artykule o ubiorach.

Poduszeczka chińska do szpilek.


Trzeba wyciąć cztery kawałki sukna czerwonego podług formy Nr. 15, naszyć tasiemeczką czarną i jedwabiem według naznaczonego deseniu. Dla oprawienia poduszeczki należy wyciąć z tektury według formy Nr. 14 podstawę, która się obszywa w perkal czerwony. Następnie kraje się cztery kawałki perkalu także według formy Nr. 15, tylko nieco mniejsze, zeszywa się je i przyszywszy szerszym końcem do podstawy, napełnia otrębami. Tak przygotowana poduszeczka przykrywa się owém haftowaném suknem, a u dołu i u góry garniruje fałdowaném suknem czerwoném, którego brzeg naszyty czarnym jedwabiem (patrz Nr. 16). U góry zakończyć trzeba kółkiem z czarnego sukna wyciętego w ząbki, do którego przyczepia się jedwabne ucho do podnoszenia.

Do PP. Prenumeratorów.

Upraszamy o wymienienie dokładne przy nadesłaniu pieniędzy, od jakiego miesiąca ma się zaczynać prenumerata, gdyż pismo zaczyna rok swój w Kwietniu, a poczta liczy rok od 1go Stycznia, ztąd więc zachodzą częste omyłki w przesyłce. Najlepiéj zaś jest nadsyłać całoroczną prenumeratę wprost do Redakcji *Kółka,* dodając numer koperty pocztowéj, w któréj inne pisma z Warszawy przychodzą.

KOŁKO DOMOWE

Miesiąc Lipiec 1862 r.




N°26
N°27